

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 46. Warszawa, dnia 6 (18 Listopada) 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY			
Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.	OPIEKUN DOMOWY wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.	Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . . rs. 8 k. —	REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.	NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie . . . „ 4 —		
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.		
miesięcznie. . . „ „ 50	w Prusach „ 24 marek.		

Zabawki Dziecinne.

Czy zwracałeś kiedy czytelniku uwagę na bawiące się dzieci? Zapewne, bo kogożby widok podobny zająć nie potrafił!? Te pierwsze błyski samoistnego myślenia, ta rozwijająca się wyobraźnia, te wysilenia kilkoletniego malca aby domek z kart postawić lub w piasku lochy niby podziemne budować, toż to nietylko dla pedagoga lub psychologa, ale dla najzwyczajniejszego myślącego człowieka rzeczy godne bliższej uwagi i zastanowienia.

Niejednokrotnie mieliśmy już sposobność mówić, jak się nam starać należy o rozbudzanie ducha samodzielności. Idea samopomocy jest tak doniosłą i tak niezawodną deską zbawienia, że każdy z nas winien ją upowszechniać wytrwale, wszędzie i na każdem miejscu.

Aby jednak propaganda taka mogła być systematyczną i skuteczną, potrzeba przedewszystkiem oddziaływać iżby przyjętą była za podstawę w wychowaniu młodzieży.

Wiemy dobrze, iż warunki z któremi umysłowy rozwój młodego pokolenia związanym być u nas musi, nie sprzyjają bynajmniej owemu tyle pożądanemu szerzeniu się zasad samodzielności życiowej; i ten wzgląd otoż powinien nas skłaniać, iżby to co jest niemożliwem w wychowywaniu publicznem, jak najstaranniej przeprowadzać w wychowaniu domowem. Tutaj spożytkować przedewszystkiem należy wszelkie środki pomagające do rozbudzenia ducha samoistności a zabawki dziecinne są bezsprzecznie jednym z ważnych środków podobnych.

Skoro tylko dziecko poczyna pojmować, poczyna równocześnie wyciągać rączki do zabawek, poczyna już kombinować i *myśleć*. O ile więc przedmioty ku którym młodziutka myśl wybiega, będą ściślej i systematyczniej do pierwotnych pojęć zastosowane, o tyle i myśl sama pewniej kształcić, rozwijać i wyrabiać się może.

Innemi słowy, jeżeli zabawki mogą służyć za jeden z najskuteczniejszych czynników pierwotnego umysłowego rozwoju, to o tyle rozwój ten stać się może więcej niezależnym i pewnym siebie, o ile wybór zabawek sprzyjać temu potrafi.

Czy atoli wybór ten potrzebujemy tutaj szczegółowo określać? Sądzimy, że zamiast długich ogólnikowych wywodów, zamiast przytaczania czemby dzieci w danych epokach wieku bawić się winny, a co przeciwnie usuwać z pomiędzy ich rozrywek należy, postawimy kwestyję nierównie jaśniej, zwracając się wprost do... *metody froeblowskiej*.

Czem pomysł znakomitego pedagoga stał się już obecnie na polu wychowawczem gdzieindziej, jak szerokie np. w Niemczech znalazł już zastosowanie praktyczne i do jakich rezultatów prowadzi, nie potrzebujemy rozwodzić się zbyt długo, boć fakta te powszechnie chyba dziś są znane. Rzecby nawet można, że tam gdzie pedagogika na przynależne jej stanowisko, oddawna już wprowadzoną została, nie ma może jednego wychowawcy, któryby znając potężny wpływ zabawek na rozwój i kierunek umysłowy dziecka, nie stawiał na czele błogosławionych że tak powiemy „darów froeblowskich.“

Dary te tam, to właśnie najpopularniejsze z zabawek, które we wszystkich warstwach społecznych zyskują coraz szersze uznanie. Gdzie się obrócisz, wszędzie *zabawki uczące* zawczasu myśleć, widzisz w jak najszerszem użyciu. Obok mnóstwa zakładów, w których jak wiadomo metoda Froebla specyjalnie uprawianą zostaje, nie ma może jednej matki myślącej, któraby rozpoczynając święty i wielki swój obowiązek, nie rozpoczynała go od zawieszenia nad kołyską niemowlęcia pierwszego „daru“ twórcy nowych zabawek. To też tam, gdzie dzieci w ten sposób się bawią, gdzie od najpierwszej chwili uczą się myśleć, tam mówimy i samodzielność umysłowa nie jest wyjątkową bynajmniej. Przeciwnie, pokolenia całe, ucząc się dzięki zabawkom, dość wcześnie samoistnie pojmować, wyrastają na ludzi, u których poczucie sił własnych staje się jednym z naturalnych i najtrwalszych przymiotów.

Tym to więc głównie może sposobem i idea zdrowej samopomocy zrastając się z duchową atmosferą dzieci, rozwija się tam następnie we wszystkich kierunkach spraw i zadań społecznych. Narody, gdzie dzieci systematycznie się bawią i bawiąc uczą się, zyskują następnie tem więcej obywateli *myślących*. A u nas? jak też kwestyja zabawek traktowaną zostaje?

Chcąc co do tego dać odpowiedź treściwą, wypadałoby powiedzieć, że u nas kwestyja o jakiej mowa, jest odbiciem całego systemu w pierwotnym wychowania okresie. Jak nic prawie w systemie tym nie jest systematem, jak wszystko skierowanem jest ku zabiciu sa-

modzielnych władz duszy, tak też i sposób bawienia dzieci nie lepiej się przedstawia.

Zajrzyjmy na chwilę do dziecinnego pokoju zamożniejszych i nawet intelligentniejszych państwa X.: konie, koniki, lalki w materyje strojne, baciki w srebro oprawne, ptaszki śpiewające i t. p., wszystko to przywiezione wczoraj z pierwszorzędnego sklepu, dziś popsute i porozrzucane bezładnie, świadczy jedynie że „swawolne dziateczki,“ znudziły się dość prędko. Troskliwy „papo“ spieszy znowu do sklepu i znowu dostawia świeży transport zabawek, a dziateczki pobawiwszy się przez kilka godzin, porzucają je tak dobrze jak poprzednie, powtarzając: „mamo! ach jak mnie nudno!“ W taki mniej więcej sposób dzieci u nas bawić się zwykły.

A nawet mniej zamożni rodzice robią nieraz „ofiarę“ aby synkowi za kilka lub kilkanaście rubli kupić ładnie ubranego konika, i aby zabawka ta posłużyła... w rezultacie do... znudzenia ich jedynaczka.

Czyż więc w obec podobnego systemu bawienia dzieci można się dziwić, że dzieci te nie przyzwyczajone do żadnych zgoła próbek... myślenia, bo samo użycie zabawek żadnego ze strony młodocianych umysłów nie wymaga trudu; czy można powtarzamy dziwić się, że dzieci, które w ten tylko sposób bawić się mogą, wyrastają następnie na bezmyślnych... półgłówków, których do samodzielnego postępu, nic już chyba nie jest w stanie zniewolić?

Nasze dzieci bezmyślnie się bawią, a nasza młodzież dorosła, bezmyślnie żyje i bezmyślnie... marnieje.

Wszakże zresztą i metoda owa froeblowska nie jest u nas całkowicie nieznaną; wszakże użycia jej nawet mamy już u siebie pewne jakby tu i ówdzie zaczątki; dla czegoż więc wstępne te usiłowania nie stają się impulsem do szerszego upowszechnienia jednego z najpożądańszych w pierwotnem wychowaniu wpływów? Dla czego słowem dzisiejsze zabawki kosztowne a szkodliwe raczej niż pożyteczne, nie mogą zostać zastąpione takiemi, które bawiąc popychałyby zarazem umysł dziecka na drogę samodzielności, i dla czego wreszcie, najzbawienniejsza w tym ostatnim względzie metoda (Froebla) w każdym nie napotyka się domu?

Jan Jeleński.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

(ciąg dalszy)

IX.

„A ten Bóg, bez którego woli ani pyłek z kwiatu, ani włos z głowy nie spada, ten sam Bóg jest i dziejów ludzkich ojcem.“ J. Kremer.

— Co też to ludzie nie wymyślą goniąc za jakąś estetyką, uduchowieniem i tylu wyrazami, których nie pojmuję doprawdy. Tak już ludzie zgłupieli, że lenią się jechać na sejmiki, a na marszałka to ciągnij kandydata choć na powrozie. Każdy wymawia się dziś od obywatelskiej posługi.

Tak rozprawiał ze swym sąsiadem łysy i podżyły dawnego autoramentu sejmikowicz. Chodził po błotnych ulicach powiatowego miasteczka, obchodził karczmy, zazierał do każdej stodoły, dziwiąc się małej liczbie przybyłych, choć termin zjazdu za drzwiami. Pan sędzia Melchijor Kreskowicz był w desperacyi, nie mógł pojąć żadną miarą dla czego tak zobojętnieli ludzie. Kogo spotkał narzekał a największe znajdował współczucie w handlarzach, traktyjernikach i mamuniach, które nawiozłszy córek rade były iżby podróż się opłaciła.

Chwała Bogu, znalazł pan sędzia drugiego desperata, w osobie także sędziego pana Kacpra Paprzycy. Pościągały się im twarze, zapadły głębiej oczy, bo snadź bezpowrotnie minęły czasy, kiedy to kaliszan na pary mierzono, nie uważając że jacyś tam szubrawcy, w *Wiadomościach brukowych, Puros mieros kaliszanos*, ich nazywali.

— O dawniej inaczej bywało! obywatelstwa niby mrówek a możniejsi z kuchnią mosanie i kredensem a stół mosanie otwarty dla wszystkich.. Czasem, mówiąc nawiasem przyrzecze się komu białą a wrzuci czarną i osiada na koszu; a tymczasem kandydat kłania się panie, nadyma się pewny swego radością, aż tu *finfa* mosterdzieju, sam siebie przekreskował. O jakże lubię takie *finfy!* prawił p. Melchijor.

—Ba i ja rosłem jak na drożdżach, kiedy bywało otwierają wazon, tę urnę sejmikowych świętości. Dziś martwo, głucho, starzy znudnieli, a młodzież Boże zmiłuj się, toć to panie do niczego.

Kiedy tak desperowali obaj sędziowie wbiegł faktor z oznajmieniem, że przyjechał p. Hektor Budrynkiewicz z całym dworem, że kazał natychmiast postawić dwa tuziny węgrzyna, starego miodu i porteru. Faktor ledwie oddychał z radości, a sejmikowicze zacierając ręce ruszyli do pana Hektora.

Pan Hektor był to szlachcic stary ale jary, ogromnego wzrostu, gęstej lecz dobrodusznej miny a zawsze wesoły. Wszędzie zostawiał po sobie ślady świetnego przechodu, tuzinami rozlewał szampana a w lipcu, w węgrzynie, porterze, kąpać się można było. W karty grał po pańsku, mało dbając o przegraną. Żadnego urzędu nie przyjmował, kontentując się spadkowym tytułem ostrzeszewskiego podstolica. Kochał sejmiki, jak się kocha sztuka dla sztuki. Stawił się więc z trzema synami i licznym taborem krewnych i przyjaciół.

Traktyjernik Tanchel latał jak podsmalony, potrącając w pośpiechu bachorzęta i w roztargnieniu także zamiast starego wina podając nieraz zwietrzałą lurę. Czasem oberwał za to butelką, ale uśmiechał się wtedy, obcierał połą krew z czoła, oblizywał się wdzięcznie, całował w rękę którego z paniczów, którego tak się zawsze żarty trzymają, a panicz w nagrodę zato zamiast sześciu kazał dwanaście dawać butelek.

Melchijor z Kacprem już znaleźli kilku pofnych u p. Hektora wszyscy mu dziękowali za łaskawe przybycie na sejmiki.

— A witajcież mi, witajcie! Ale czemuż inni dotąd jeszcze pleśnieją w domu?

— Nie ma bodaj nikogo. Wystaw sobie łaskawco, co to za niedyskrecyja, co to za hultajstwo, wszakże to jutro otwarcie elekcyi, przemówił pan Atanazy Butelkiewicz.

— A któż idzie do laski, a jacy kandydaci? pytał pan podstolic.

— Wystaw sobie łaskawco, wieść niesie że pan Kłębek kwapi się ku temu, tylko bodaj że nie ma kwalifikaty boć przecie bez rangi.

— Wszakże stoduszowy a na marszałka to dosyć.

— Orżnięto go na lnie w Rydze, na pietnaście tysięcy rubli, to gdzie mu tam o lasce myśleć, rzekł pan Kacper.

— Oho, ta Ryga! znam ja szelmę dobrze, przerwał z głębokiem westchnieniem p. Jacenty Śreniawa.

— I ja znam Rygę, wtrącił stolnikowicz. Tam miodem karmią, ale jak go połkniesz to dziegieć panie poczujesz. Ja wiedziałem o tem i nie dałem się wystrychnąć na dudka; zato pan Jacenty, do dziś pewno pamięta jaką mu kurtę skrajali.

— Oj! pamiętam, pamiętam, a byliśmy z tym oto błaznem, mruknął Jacenty, wskazując na swego syna podrostka. I on wie co to Ryga.

— Wiem. Założyli ją kupcy bremeńscy w ro.....

— Niech oni z piekła nie wyjdą za takie założenie, wrzasnął zaperzony ojciec.

— Więc cóżto tam było takiego, panie Jacenty, spytał Henryk Maroński. Ja w innych stronach mieszkam i jak żyję nigdy w Rydze nie byłem, powiedzcie mi co to tam jest takiego?

— O długo by o tem gadać dobrodzieju...

— Tymczasem choć coco powiedzcie, boć z obecnych nie jeden zapewne nie zna także Rygi wcale.

— Prosimy, prosimy! odezwali się wszyscy.

— Kiedy wola to tandem tedy, nakupiwszy lnu i od sąsiadów i na targach, pojechałem panie do Rygi, tarantami, które mi jeszcze szwagier był wraz z najtyczanką z Berdyczewa przysłał.

Poczciwy Pinchas, dawał mi na miejscu za berkowiec bez furmanek po czterdzieści pięć talarów obrączkowych, ale myślę sobie, lepiej więcej zarobić i wio panie w drogę... W Kurlandyi co prawda drogi dobre i karczmy wygodne, ale zdzierstwo panie! to niech ich jasności ogarną! Nawet za łóżko panie płać szelmom piędziesiąt groszy od nocy. Jadło dobre, ale miałem lepsze w króbce, własną ręką Piotrusi mojej przygotowane i spakowane; zatoż kawa, choć na psa lej: nie zabiel śmietanką, to kwiatek na spodzie filiżanki zobaczysz. Wiadomo że tuż za rogatkami przedmieścia siedzi tam zgraja *huszpaserów* (*Aufpasser*).

— Co to jest *huszpasser?*

— Huszpasser to mosanie, obszarganiec wyszczekany. To panie faktor kupiecki, napadający na przybyłego, jak dyjabeł na dobrą duszę. Ten ci zaleca panie *nowe szczęście*, ten *gwiazdę*, ten *wilka* i t. d.

— A co to znaczy znowu u licha?..

— To przezwiska dla chłopów (*Bauersnahme*), którzy niemieckiego wyrazu niespamiętają lub przekręcą.

Taki otoż *huszpasser* podsuwa ci karetę, wiezie do swego mecenasa, który na cię już u schodów wyczekuje na dole. Ledwieś zdjął futro, podają ci jeść i pić czego dusza zapra-

gnie. Twoje konie już w stajni i ludzie za stołem.

Tymczasem i len już mosanie pod ważnicą, ważą go, opisują, mażą, no i bierz pieniądze. Chcesz możesz być sam przy tem wszystkiem obecny, nie chcesz to poślej kogo na świadka. Potem len znowu ładują na te same furmanki i wiozą do kupca. Zrzucili, złożyli, konie do owsa, ludzi do stołu prowadzą, choćby ich stu było czy więcej. Tuż i muzyka z bębenkiem a piwa, miodu, wódki i mięsiwa na dwa brzuchy wystarczyłoby każdemu. Niech bodaj trzy dni bawią to hulanka zawsze ta sama. Potem każdemu z furmanów jakiś jeszcze prezencik, to paczka tytoniu, to fajeczka drewniana w miedzianej oprawie z krótkim cybuszkiem i t. p. Ekonomowi także jakiś upominek albo gotówką, albo piankową lulkę w srebro oprawną, albo zegarek lub futro, w miarę mniejszej czy większej wartości kupionego towaru.

Dla pana osobny pokój czysty, wygodny, a często świetny nawet. Wszystkim usługuje niemeczka, będąca i kucharką i garderobianą pani kupcowej i jej córek, a to za 50 talarów rocznie.

— Jakiż stół? pewno słodkie wszystko?

— Ckliwy rzekłszy prawdę, ale jak szkło czysty. Przed obiadem dają śledzia albo coś słonego na zaostrzenie apetytu, potem zupa cienkie bestyjstwo niby ze szpitala; po zupie sztukamięs, potem pieczyste lub ciasto... Wieczorem do teatru lub na inną jaką publiczną zabawę. Teatr tamtejszy na zewnątrz budowla panie nie wielka ale wewnątrz dekoracyje wcale dobre i równie dobra maszyneryja. Wybór sztuk jak się zdarzy, gra mierna, ale co najważniejsze bufet to doskonały. W czułych scenach publiczność męzka a starsza, poziewa, młodsza, wzdycha z kobietami robiącemi pończochę. Sceny komiczne, wyrażenia trywijalne, wywołują huczne oklaski. Wracasz, masz zaraz smaczną wieczerzą z butelkami rozlicznego kalibru; jedz, pij i popuszczaj pasa.

— I to wszystko za darmo?

— Niby darmo ale poczekaj! obrachują ci szelmy wszystko pod wagami.

— Kiedyż targ się odbywa?..

Przy pierwszem śniadaniu jakeś tylko przyjechał. Umowy są rozmaite. Albo godzisz się na brak kupiecki, to jest: umawia się o taką lub taką cenę za każdy berkowiec, bez względu czy będzie *pik korona*, *korona*, *brak*, *drejband* czy pakuły. Albo umawiasz się na brak właściciela lnu: wówczas oznacza się cena za każdy gatunek, a ilość tego lub owego gatunku, rozstrzyga przysięgły brakarz pod wagami. Trzeci sposób jest bez umowy. Jedzie się prosto pod ważnicę, gdy odważą i rozgatunkują, wówczas wolna wola: umawiaj się i sprzedaj jak i komu ci się podoba.

— Cóż to za kaduk ten brakarz?

— Brakarz to zwykle tłusty mosanie jegomość, w zapiętym pod szyję a po kostki długim piaskowym surducie, w okrągłym białym kapeluszu, najczęściej zbankrutowany kupiec, o miernej pensyjce, którą tak obraca iż mu rośnie mosanie, jak jadło na kruświckiej uczcie u Piasta. Niebawem taki brakarz zakłada też nowy handel, ale już nie z tym co poprzednio towarem, bo tak prawo wymaga. Jak mu ochota przyjdzie znowu huncfot bankrutuje: klucze od sklepu zawiesza na giełdzie a wierzyciele idą do dyjaska z kwitkiem. Żona zaś kupuje na swoje imie dom lub zakłada jaki magazyn, a mąż jest komisantem. Otóż taki jegomość stoi pod ważnicą z miną nadętą z naprzód wychyloną figurą; przed nim dębowa kłoda, błyszczącej jak szkło powierzchni. Na tej kłodzie kładą len z wozów wańtuchami trzy razy przewiąsłem związany. Pan brakarz, ostrym jak brzytwa śpiczasto zagiętym nożem, rozcina dwa z rzędu przewiąsła, szturcha nożem wzdłuż wańtucha, rozrzuca go i wyrzekłszy nazwę gatunku odrzuca z kłody. Ciskają go zaraz na kupę innych, tego samego gatunku, ważą i zapisują na tablicy ilość otrzymaną. Kto na swój brak sprzedaje, powinien rzucić zawsze parę białych za kłodę, dla pani brakarzowej na przędkę.

— Któryż z tych sposobów sprzedaży jest najlepszy, bodaj że chyba ostatni?

— Niech was wszyscy święci bronią od tej najlepszości! na niej właśnie orżnięto mnie na 2,562 obrączkowych, jak jeden grosz mosterdzieju!

— Cóż, źle zważyli?

— Odważyli jako tako, ale puszczono len *korony hiszpańskiej w brak* i *drejband*.

— Należało go zabrać do domu.

— Gadaj zdrów a toć jest tam szwedzkie prawo zabraniające wywozu raz przywiezionego za bramy miasta towaru, wolno go tylko w najętym składzie złożyć. Najmijże lokal i czekaj na ceny które oznaczają ci, coby je radzi zniżyć do minimum...

— O to niech ich trzysta!....

— I ja tak samo im dziękowałem ale co to pomoże? Na pociechę, opowiedziano mi komiczne ale prawdziwe zdarzenie.

Pewien pan oto jedni mówią że Tyszkiewicz, inni że Giedrojć nawet, w ostatnich latach zeszłego stulecia, przywiózł ogromną lnu partyją, i... tak samo na niej wyszedł jak ja pod ważnicą. Chce wywieźć, niewolno; wiezie tandem na Dźwinę i wszystko het pali.

— A toć nauka mospanie, powiedział budowniczyc.

— Co pomoże krukowi mydło albo umarłemu kadzidło?

— A jakże tam tego niedoważenia i brakowania uniknąć, odezwał się dziedzic ośmiu dymów, ale stu za to dzierżawca.

—Powiedziałbym jakby to zrobić, wtrącił młody jakiś akademik, tylko powiecie panowie że jajko kurę uczy.

— Mów, mów dobrodzieju! zawyrokował dobrodusznie podstolic. Jużto czas taki że młodych język świerzbi. Znałem ja twego bo dziada jeszcze. O! orator to był pierwszego rzędu, a po łacinie, jak rzepę gryzł. Ale mówże, bo milcząc zapomnisz języka w gębie.

— Kiedy Anglija ma swego komisanta w Rydze, Ryga swego w Londynie, my nie mamy żadnego nigdzie. Kiedy tam każdy czyta handlowe i rolnicze gazety, my rolnicy z dziada pradziada, umiemy wszystko bez nauki. Cóż za dziwota, że o bożym świecie nic nie wiedząc, jesteśmy na łasce miasteczkowych plotek i parafijalnej polityki. Wszyscy nazywamy kraj nasz rolniczym, a rolnictwa nie ma. Chłop posieje, Pan Bóg poleje, wyrosło. Nim wyrośnie, wieczne biedowanie. Tymczasem niwy wyjałowione, łąki kępami zarosłe, bydło nędzne, lasy zniszczone, drogi i mosty doskonałe... do złamania karku. A tu jedni karnawałują po miastach, drudzy huczą i grają w karty na wsi. Pierwsi śmieją się z drugich, że nie umieją używać dostatków, drudzy z pierwszych, że trwonią fortunę na próżne blaski. Tak kocioł garnkowi przygania a oba się smolą; bo i ci i tamci żyją na kredyt, dążąc prostą drogą do bankructwa...

— Dobrze to wasze wydemonstrował, choć za gorąco bierzesz rzeczy, przemówił stary Żegota. *Fata adversa* rzucały mnie po świecie, a zostawiwszy rękę pod *Piramidami*, miałem czas przypatrzyć się ludziom i ich życiu wzdłuż i wszerz Europy. Co wasze powiedział, redukuje się do tego, żeśmy niedbali, że żyjemy z dnia na dzień bezmyślnie. Prawda, ale wasze nie patrz przez okulary przedwczesnych życzeń i chęci. Gdybyś był ojcem, ciągnąłżebyś za uszy infanta że nazajutrz po urodzeniu wierszy nie deklamuje; a pojutrze, że nie dosiada rumaka, hę? Nic na świecie nie stoi, co żyje iść musi i iść ciągle naprzód. Ale ten sam koń, z tym samym wozem inaczej idzie po bitej, inaczej po grząskiej drodze. Wczytaj się wasze w to czegoś nie czytał, wsłuchaj się w to czegoś nie słyszał, wpatrz się w to co czas omroczył. Przedewszystkiem zaś naucz się alfabetu życia i czytaj to życie od deski do deski, nie nużąc się omyłkami i mazaniną skoropisu. Wówczas, doczytasz się sensu i przyczyny czemu tutaj jest tak, czemu indziej inaczej; a wszędzie jest jak być powinno w logice dziejowego rozwoju. Spojrzyj w świat i naucz się poznać jego oblicze w takich chwilach, gdzie summa jego żywota w nim się odbija. Wówczas, pocieszony widokiem wiecznie kwitnącej prawdy, z jasnem pojęciem konieczności, pójdziesz spokojnie za pługiem, czując smak chleba co za rok pożywać będziesz ty, albo dzieci twoje. Z tego nie wypada, abyś nie uczył nieświadomych lub nie gromił próżniactwa, owszem, cześć nauce i pracy poczciwej, lecz zrzęda i przesada, nuży zarówno mówcę jak słuchacza i nudząc niczego nie nauczy.

— Wszystko to bardzo pięknie, każdy z panów dobrodziejów Cycero jak Pana Boga kocham i kwita; ale co będzie z wyborami, odezwał się Melchijor.

— Oj prawda, prawda, trzeba się naradzić bo to nie bagatela...

— Kandydatów nie wielu a chętnych mniej jeszcze, wtrącił smutno pan Kacper.

— Zaprosimy pana Rogalę: bogaty to i porządny człowiek, a jak żyje! Już o nim można powiedzieć, że ani sobie ani drugim nieżałuje.

— Ba, to na nic się nie zdało. Rogala wydaje córkę za mąż i o niczem więcej na teraz nie myśli.

— A pan Okrasa: kapitalista, zręczny człowiek, z prawem się zna a plecy tęgie ma za sobą.

— Nie nie można, zakonkludował podstolic, paskudziarz to mosanie, kutwa i nic więcej.

— To teraz tak się skórczył dopiero bo dzieci podrastają, a czasy ciężkie jak nigdy.

Mówił mi zresztą że na sejmiki nie przybędzie, powiedział pułkownik Wierzbięta. Zaprośmy tandem pana Norberta Kadłubka, toć homo panie i z pierza i z mięsa. Poczciwe gniazdo, z jego stryjem byłem pod Saragosą.

— Bardzo go szanuję, nic niemam przeciwko niemu, ale kto wie jak się to innym zdawać będzie. Filozof! mruknął podstolic.

— Cała go młodzież poprze, odrzekł ktoś z tłumu, a wszyscy młodzi huknęli: prosić, prosić, prosić!

— Nie z młodzieży samej powiat przecie złożony, przerwał podżyły prezes.

— A cóż mu kto zarzuci? Znaleźć się potrafi wszędzie, nosa nie zadziera przed nikim, dodał sędziwy chorąży.

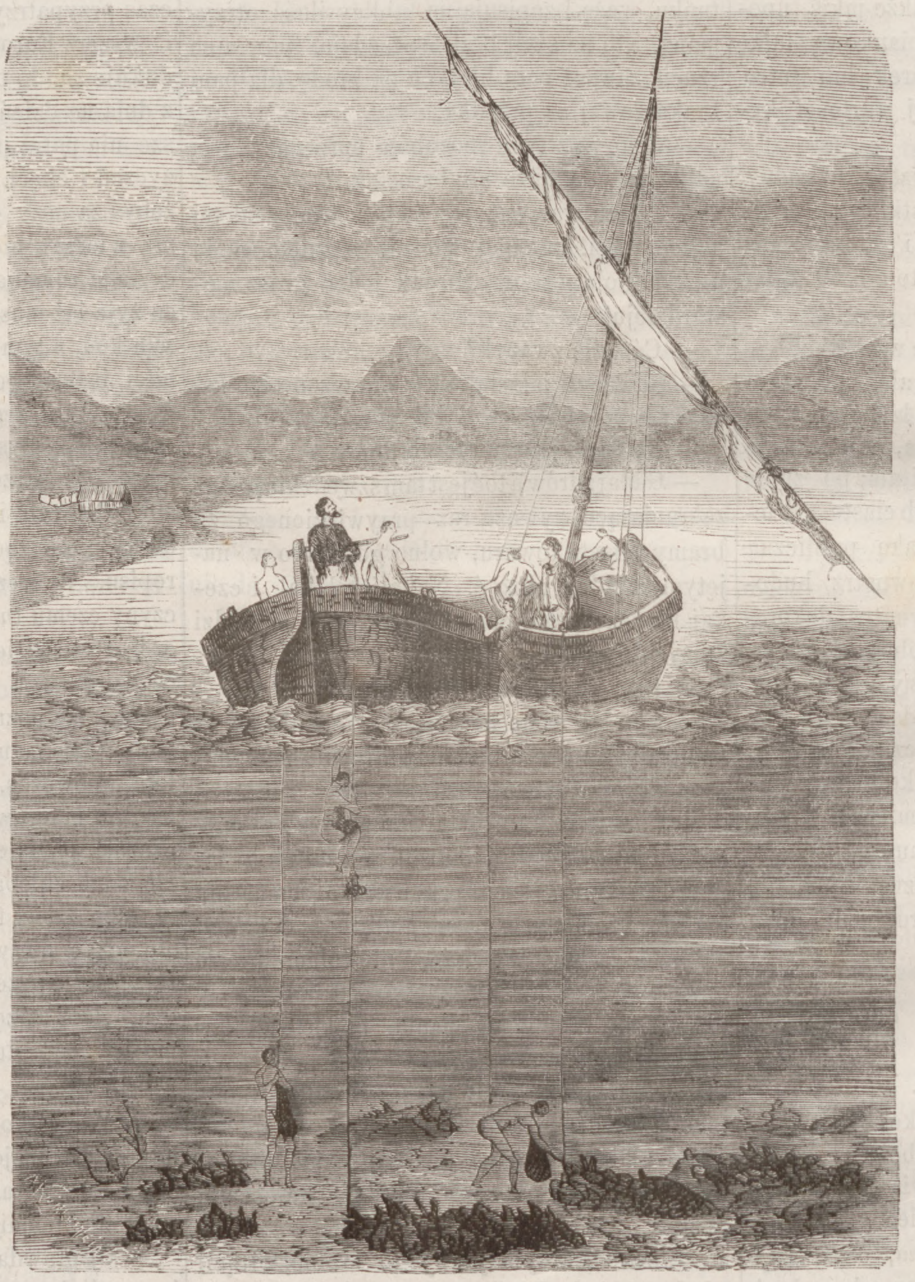
— On sam się na to nie zgodzi, bo ma huk bez tego wydatków, sam lubi puścić a i pani żona nie od tego.

— Prawda, mosanie, ma wydatki i wielkie, rzekł podkomorzy Tarło, bo gdy kogo dotknie nieszczęście, on mu pierwszy z pomocą śpieszy. To już mosanie, obyczaj ich rodu. Znałem jego dziada, wojskiego oszmiańskiego, co żonaty był z kasztelanką chełmińską. Prowadził on proces przez lat dwadzieścia *de vitae et moribus*, z panem strukczaszym Wiłą. W tem strukczaszemu piorun pali dom, stajnię i oborę z dobytkiem. Dowiaduje się o nieszczęściu pan wojski, jedzie do strukczaszego, wiezie mu pokwitowanie z procesu i zaprasza z całą rodziną i daje jej folwark mosanie w dzierżawę za dziesiątą część wartości, a tymczasem odbudowywa pogorzelisko, napełnia oborę rasowem bydłem, stajnię końmi najlepszemi z własnego stada i na *prima aprilis*, wymyśla list od rządcy wzywający strukczaszego do jego majątku. Oto niedawno zgorzały dwa miasteczka, jedno o mil pięć, drugie stąd o mil ośm, wnet pan Norbert posłał do każdego po kilkaset korcy zboża. Włość u siebie przebudował, kiedy się o tem nikomu jeszcze nie śniło oczynszował i zaprowadził postępowe rolnictwo. Żony jego nie znam osobiście, lecz mosanie, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Babkę poznałem u pani Morawskiej w Nieświeżu, co to była panie za niewiasta ta panna starościanka wiłkomierska! A jaka rozumna, to i panu Borowskiemu przed nią nieraz fantazyi zabrakło. A po mieczu co to za krew poczciwa! chłop w chłopa i do boju i do rady. Nieodrodziła się i pani Norbertowa: i w piśmie uczona, i jak anioł dobra, i gospodarna jak pszczółka. Sam znam dwóch młodzieńców, co jej kosztem szkoły i akademiję skończyli; a dla siebie to na wstążeczkę żałuje choć młoda i ładna. Takiego mosanie marnotrawstwa życzę i dzieciom moim i sobie i wszystkim tu obecnym.

— Pan Kadłubek zarozumiały i dziwak, ona *bas bleu*, ozwał się przez zęby milczący dotąd żółty jak cytryna paniczyk, ze szkiełkiem w oku siedzący w drugim pokoju.

— A co to za ćma we fraku, szepnął ktoś na ucho do pułkownika.

— Syn to uczciwego ojca, który go odumarł wcześnie, a mamunia stroiła firleje, edukowała kanaczka po swojemu, a potem wysłała na wojaż, oto i sekret cały.



Łowienie pereł na wyspie Cejlon.

— Czy nie przyjechał pan Norbert, zapytał podstolic?..

— Nie ma go dotąd, odrzekł Melchijor, a sąsiedzi powiadają że nie będzie wcale, i zrzeknie się gdyby go nawet zaocznie obrano; filozof i kwita...

— Niechajże sztraf zapłaci za to że filozof!

— Jabym tym filozofom wszystkim dał takiego fernepiksu, żeby mnie całe życie popamiętali. Przez nich to taka trudność w wyborze; oto już nie po dawnemu, nie po trzystu, ale po sześćdziesięciu wotuje, a jeszcze jak niedźwiedzie w łomie ssą łapy pod domowym piecem.

Wkrótce powiększyło się znów towarzystwo nowo przybyłemi gośćmi. Każdego z nich zaproszono na różne urzęda, ale każdy wykręcał się jak mógł od zaszczytów. Nareszcie podano projekt ofiarowania p. Bartłomiejowi Płazie marszałkowskiej laski.

— Dobry człowiek odezwał się ktoś z przybyłych, bez fanaberyi i dostatni, żona zacna kobieta a córeczki na wydaniu, to pewno nie będą od tego...

— Że dobry to święta prawda, że ona jeszcze lepsza, temu nikt także nie zaprzeczy, że córeczki ładne ani słowa; ale i to prawda, że ich nie zobaczymy, zauważył ktoś z tłumu.

— A to czemu, zapytało kilka głosów.

— Bo jegomość dobrodziej jada obiadek w szufladce, więc u niego zawsze po obiedzie. Nie o to zresztą chodzi aby nas zapraszał, bo każdy mocium panie ma własną złotówkę w kieszeni. Ależ trzeba utrzymać stosunki na świecie. Do tego zmarszczony zawsze i zgryźliwy, a cokolwiek tylko powiesz on to wnet do siebie stosuje. Bodaj to dawniej!.. poważnili się było że kordy były w robocie, ale potem uściskali się i po staremu kochali jak bracia. Dziś świat inny mocium panie. Pamiętam jak to mnie ongi rodzic mój świętej pamięci, wprost z połockiej akademii przywiózł na elekcyje. Trafiamy na sesyję: do kresek staje godny obywatel pan Spinazzoli którego przodek jeszcze z królową Boną z Baru tutaj przybył. Popierał go ze swoimi p. Błażej Koraba, zacny, ale okrutnie szpetny a kochliwy człowiek. Liczą wota: żebyż jedna negatywa, tylko kartka w wazonie a na niej:

„Pewno każdy się zdziwi, kto porządek kocha:
„Niegdyś włoch wodził małpy! teraz małpa włocha.“

Co to było śmiechu, co wesołości! a pan Włoch i pani małpa śmieli się najwięcej i żadnemu z nich ani się zamarzyło o gniewie, bo wiedzieli że ich wszyscy kochają i że tego warci. Po obiorze hulka trwała cały tydzień i starczyło na wszystko, teraz mocium panie, inny świat. Wówczas mówiono, kiep kto nie ma stu dukatów w jednej i drugiej kieszeni, dzisiaj: „*wązko, spięto; kuso, ścięto, a w kieszeni figa.*“

— No a nie przydałby się syn pana Bar-

tłomieja, pan Hijacynt? toć już urzędował i bywalec nie lada.

— Są tacy co cały świat objechali a w świecie nie byli. Ja sam mam mocium panie walizę co z moim ojcem, Panie świeć nad duszą jego, siedm lat przebyła w Rzymie, a po łacinie ani weź nie umie.

— Znam, znam pana Hijacynta, odezwał się ktoś z daleka podchodząc do mówiących. Spotkałem go w Warszawie na sobotnich pierogach u Rozengarta; nazajutrz zaprosił mnie do Marego na Krakowskie-przedmieście. Było nas dziesięciu zaproszonych a wystąpił co się zowie! przysmaki z czterech części świata! Znaj pana po cholewach, a jaki facetus, jaki szarmant! Toć możnaby materac ułożyć z tych włosów, co mu je tam różne białogłowy na pamiątkę ofiarowały. Po kilku latach widzę go u wód w Ems, tłusty, stary i po angielsku tylko gadający. W kursalu spotyka się z dawnym kolegą szkół krożskich, Wincentym Rębajłą: po przywitaniu, pali do niego po angielsku: Rębajło, choć był lat kilka profesorem w Manszesterze, udaje że nie rozumie, nareszcie odpowiada mu po łacinie i po grecku. Zdetonował się p. Hijacynt, przemówił po swojemu i wtedy dopiero uścisnęli się starym obyczajem i na wzajemne: *kochajmy się!* wypili po butelce Schlos-Johanisbergu.

— Ja go znałem w paroksyzmie francuzczyzny, powiedział sędzia Starodubowski. Kiedy urząd piastował miałem do niego interes, idę a tu wygalonowany szwajcar buławą drzwi zasłania; odchodzę więc, myśląc że tu komedyjanty sztuki pokazują. Pytam żydka o mieszkanie p. Hijacynta. — Ny to tutaj, rzekł kłaniając się, tutaj gdzie ten w złocie drągal stoi. Wracam więc a szwajcar pyta: — *Isz kur ponas?* (skąd pan?) *Isz Wilniaus*, odpowiedziałem z uśmiechem i dalej z nim w gawędkę. Był to rosły chłop z nad Wilii, wzięty od bydła i okrutnie wytęskniony do chaty. Usłyszał widno p. Hijacynt naszę rozmowę, wysłał lokaja prosząc do siebie i dał audyjencyją w gabinecie. Na przywitanie wysunął do uścisku dwa palce prawej ręki i wskazał na fotel. Bawiłem z godzinę, a że p. Hijacynt najwięcej francuskich używał frazesów rzekłem: szkoły dawnom ukończył, słownika nie mam ze sobą, bądź więc zdrów mościwy panie, i wyszedłem.

— Mości panowie proszę o głos, zawołał p. podstolic. Zaprośmy nadal poprzednika, niechaj nam nadal przewodniczy a oto właśnie idzie, i tu może zajdzie.

— Zgoda! wrzasnęło kilkanaście głosów. Poczciwy to starowina, zgoda i niech żyje.

Podstolic wyszedł na ulicę i wprowadził p. Julijusza Ostoję a tłum go obsiadł i zapraszał do laski. Wymawiał się jak mógł Ostoja, ale gdy mu powiedziano że obywatelska posługa tego wymaga, że trzeba się komukolwiek poświęcić, starzec rozrzewniony rzekł: Wola wasza, więc zgoda, ale darujcie że nie mogę tak jak pragnę odpowiedzieć wezwaniu waszemu.

— Tymże samym trybem, dodał na zakończenie p. Maciej Norwina krewny podkomorzyny, szły wybory na inne urzędy. c. d. n.

ZARYSY
Gubernij północno i południ.-zachodnich,

skreślił

Jan ze Śliwina.

(Ciąg dalszy.—patrz Nr 45).

XV.
Gubernija Mohilewska.

Gubernija Mohilewska, jest to gniazdo, kolebka starożytnych *Biało-russów*, czyli *Białorusinów*, najstarożytniejszego szczepu słowiańskiego. Nazywano byłe województwa: Mińskie, Połockie, Mścisławskie, Witebskie i Smoleńskie, dziś zaś zaś Białorusią mianują tylko gubernije Mohilewską i Witebską. Pod względem etnograficznym jak pierwszy, tak i drugi podział nie jest uzasadniony, bo Białorusini znajdują się i w Wileńskiej gubernii, a nadto, jak wykazaliśmy wyżej i w kilku innych. Łotysze zaś inflantscy w gub. Witebskiej wcale a wcale do Białorusinów zaliczani być nie mogą.

Skąd pochodzi nazwa Białej Rusi, ostatecznie nie roztrzygnięto. Najpowszechniejsze mniemanie, że przezwano ich tak od białych żupanów i białych wojłokowych kołpaków (na kształt głowy cukru), jakich i do dziś dnia używają w gubernii Mohilewskiej.

Najbardziej zbliżony do pierwotnego, najczystszy język białoruski, przechował się w gubernii Mohilewskiej, nie prawie nie uległszy spolszczeniu, jak w okolicach Nowogródka i Wilna. Starożytne piosnki białoruskie, do dziś dnia śpiewane w tej stronie, świadczą o dawności tego języka i wielkiem pokrewieństwie jego z Pieśnią o półku Igora. Jest to ten sam język,



Sarny w lesie. Rysunek K. Bodmera.

którego używano przy dworze książąt litewskich, na który Skoryna przełożył Pismo Święte, [1]) w którym był ogłoszony Statut litewski, oraz inne prawa, statuta, przywileje, nadania i t. d. od najdawniejszych czasów prawie do połowy wieku XVII. [2]) W odległych wiekach, jak nam podają najdawniejsi kronikarze, w dzisiejszej gubernii Mohilewskiej mieszkali Słowianie: na wybrzeżach *Soży Radymicze*, a na wybrzeżach *Dniepru*, *Krywiczanie*. W VIII stuleciu panowali nad nimi Chazarowie, w r. 885 pokonani przez Olega. Po śmierci Włodzimierza Wielkiego, znaczna część dzisiejszej gubernii Mohilewskiej należała do księstwa Połockiego, a nadto potworzyły się tu odrębne księstwa udzielne, jak Mścisławskie, Łukomskie i Druckie. Częściowo nakoniec należały ziemie do księstw Smoleńskiego, Czernihowskiego i Siewierskiego.

O zaludnieniu tej krainy w epokach pierwotnych świadczą grodziska, zamczyska i kurhany, szczególnie nad brzegami Dniepru, Soży, Wiechry i t. d.

W czasach historycznych od wieku XI znane już są tu starożytne osady i grody jak *Czeczersk*, *Rasnia*, *Obolsk* później *Rsza* w końcu *Orsza*, *Mścisław*, *Kryczew* i inne.

Wszystkie te ziemie w wieku XIV przeszły pod panowanie Litwy, chociaż udzielni książęta, szczególnie na Mścisławiu, długo jeszcze siedzieli na swych księstwach.

Religija chrześcijańska wprowadzoną tu została w wieku X za Włodzimierza W. greckiego obrządku. W wielu miastach są bardzo starożytne świątynie. Nawet w wieku XV książęta litewscy i królowie polscy wznosili tu cerkwie prawosławne. Tak Kazimierz Jagiellończyk w r. 1447, na pamiątkę szczęśliwego uratowania małżonki swojej Heleny od utonięcia w dzień ś-go Elijasza, fundował sześć cerkwi, które przetrwały do dziś dnia, chociaż nie w pierwotnej budowie, a mianowicie: w *Orszy*, *Kryczewie*, *Czerykowie*, *Mohilewie*, *Bieszenkowicach* i *Witebsku*. Unija kościołów i tu jak w Połockiem spotykała przy wprowadzeniu wiele trudności. Kościoły katolickie zaczęły się tu wznosić w wieku XVII, od czasu kiedy w *Orszy* założono kollegijum jezuickie, a w *Obolcach* mianowano archidyjakona dla całej Białej Rusi, i cały kraj przyłączono do dyjecezyi wileńskiej. Dla tego to, takim archidyjakonem mógł być tylko kanonik wileński, a później z rozkazu papieża jeden z biskupów sufraganów dyjecezyi wileńskiej. Lew Sapieha ufundował na Białej Rusi przeszło 60 kościołów. Inni magnaci starali się go naśladować. Wszakże nie zważając na taką troskliwość w sprawach religijnych obu wyznań, tradycyje i obrzędy z czasów pogańskich przetrwały tu aż do dni naszych i pod względem etnologicznym jest to bodaj najobfitsza skarbnica ze wszystkich ziem słowiańskich.

Za dawnych czasów gubernija Mohilewska była podzielona pomiędzy województwa: Mścisławskie, Połockie, Mińskie i Witebskie. Mścisławskie województwo utworzono około r. 1590. Do niego należała większa część gubernii: *Mścisław*, *Mohilew*, *Kryczew*, *Klimowicze*, *Czausy*, *Bychów*, *Czeryków*, *Andruszów*. Do Mińskiego należały: *Rohaczew*, *Homel*, *Propojsk*, *Czeczersk* i t. d. Powiat Orszański z *Kopysiem*, *Szkłowem*, *Białyniczami*, *Hory-Horkami*, *Sokolnią*, *Druckiem*, *Łukomlą*, i *Toloczynem*, należał do województwa Smoleńskiego, a po odpadnięciu Smoleńska, nosił nazwisko ziemi Orszańskiej, która z powiatem Witebskim tworzyła województwo Witebskie.

Po pierwszym podziale Polski z województw Połockiego, Mścisławskiego i Witebskiego w r. 1772, utworzone zostały dwa namiestnictwa: Połockie i Mohilewskie. To ostatnie dzieliło się na powiaty: Orszański, Rohaczewski, Mścisławski i Mohilewski. W roku 1776 namiestnictwo otrzymało nową organizacyją na zasadzie ogólnej ustawy dla gubernij rossyjskich. W roku 1778 otwarte były urzędy i izby sądowe. Pierwszym namiestnikiem był jenerał Zacharyjasz Czernyszew. Cesarz Paweł I w roku 1797, z namiestnictw Połockiego i Mohilewskiego rozkazał utworzyć jedną guberniję *Białoruską*, ze stolicą w Witebsku.

W roku 1801 cesarz Aleksander I, rozkazał przywrócić guberniję Mohilewską, podzieloną na 11 powiatów: *Mohilewski*, *Siennieński*, *Orszański*, *Horecki*, *Mścisławski*, *Czausowski*, *Czerykowski*, *Klimowicki*, *Staro-Bychowski*, *Rohaczewski* i *Homelski*. Z tych powiat Horecki utworzony został w r. 1861 z byłego powiatu Kopyskiego. Był jeszcze powiat Babinowiecki, który w r. 1840, wcielono do Orszańskiego.

W roku 1831, uchylono moc obowiązującą Statutu litewskiego, a natomiast wprowadzone zostały ogólne prawa, jak sądowe tak administracyjne innym gubernijom w Rossyi przysługujące.

Granice gubernii stanowią: na północ gub. Witebska; na wschód Smoleńska i Czernihowska; na południe Czernihowska i na zachód Mińska.

Powierzchnia gubernii obejmuje 5,821 mil kwadr., czyli 40,747 wiorst kwadr. Podług de Liwrona (1874 r.) cała przestrzeń wynosi 4,377,000 dziesięcin, z tych 2,000,000 dziesięcin ziemi uprawnej, 337,000 łąk, 1,184,000 lasów i 856,000 ziemi nieuprawnej, a także zalanej wodą, zajętej bagnami, drogami i t. d. A zatem na 100 dziesięcin ogólnej przestrzeni wypada 45,7 uprawnej, 7,7 łąk, 27,0 lasów i 19,6 nieużytków. Łąk w stosunku do ziemi uprawnej wypada 16,8.

Gubernija ta należy do krajów leśnych i bagnistych. Północna część gubernii, t. j. powiaty Siennieński, Orszański, Mohilewski, Horecki i Mścisławski, jest wznioślejsza i falowata; główna pochyłość ku południowi; południowa zaś część, czyli powiaty: Homelski, Rohaczewski i po części Bychowski ma powierzchnię równą i lesistą. Wyniosłości te stanowią część południowo-zachodniej gałęzi płaskiego pasma gór Alauńskich, dzielącego basseny wód, płynących do morza Baltyckiego, od wód wpadających do morza Czarnego. Powierzchnia tych wyniosłości prawie wszędzie piaszczysta. Najwznioślejsze miejsca mają do 800 stóp nad powierzchnię morza. Północno-zachodnia część gubernii pokryta lasami, bagnami, ze znaczną przestrzenią ziemi nieuprawnej, dzikszą jest od południowej części.

Mineralne bogactwa kraju mało zbadane. Wiadomo tylko, że w powiatach: Mohilewskim, Bychowskim, Rochaczewskim i Czerykowskim znajdują w niewielkiej ilości rudę żelazną; w Siennieńskim i Orszańskim kamień wapienny. Glina tu obfita i dobra, ceglana, garncarska i porcelanowa, najwięcej w powiecie Horeckim. Natrafiają także na ziemię czerwoną, której używają do olejnego malowania dachów. W Mohilewie i w niektórych miejscach naddnieprzańskich są studnie wody słonej. Nad brzegami Soży i w innych miejscach znajdują niemało ciekawych skamieniałości roślin i zwierząt przedpotopowych. Podług badań Helmersena (1863) od Lepla w Witebskiej gubernii do Kopysia w Horeckim powiecie i dalej na północ przez Hory-Horki, Mścisław, wkraczając do guber. Smoleńskiej idzie formacyja Dewońska. Zachodnia zaś i południowa część gubernii do rzeki Soży, jest formacyi trzeciorzędnej. Po nad Sożą są pokłady kredowe.

W lasach rosną: dąb, lipa, klon, wiąz, olsza, leszczyna, sosna i jodła. Spotykają się gdzieniegdzie grab, brzoza, jarzębina, czeremcha, kasztan, topole i dość obficie wierzba. Olsza wyróżnia się w tych stronach; jest nadzwyczaj wysoką i prostą z kędzierzawym wierzchołkiem.

Ziemia najmniej jest tu urodzajna ze wszystkich litewskich gubernij. Grunt składa się najwięcej z gliny i piasku. Czarnoziemu bardzo mało. Żyto, owies i jęczmień rodzą się obficiej, chociaż nie wszędzie; pszenica, groch, len zasiewane są w niewielkiej ilości. W ogrodach rosną i dojrzewają kawony i melony.

Co do urodzajów mamy z roku 1871 następujące dane: Wysiew zbóż ozimych 374,000 czetwerti, jarych zbóż 529,000; kartofli 364,000. Zebrano: zbóż ozimych czetwerti 826,000, ja-

---

[1]) Wiadomo, że *pierwszy druk*, Biblija Guttenbergowska wyszła w r. 1455. Rokiem zaś 1475 datuje się pierwszy druk mowy polskiej. Była to modlitwa Pańska, Ojcze nasz, Skład Apostolski wydrukowany w *Statuta synodalia*, w Norymberdze. Przez całe jednak 50 lat od wynalazku druku, nie mieliśmy prócz jednej modlitwy wcielonej w tekst łaciński, żadnej polskiej książki, gdyż jak wiadomo, pierwszy druk polski zjawił się zaledwo w r. 1505. Przeciwnie słowiańskie druki pokazały się we 28 lat od wynalezienia druku, w Wenecyi, a kiedy w Krakowie jeszcze nie było stałej polskiej drukarni, *widzimy już druk białoruski*, w dopisach, przedmowach i tytułach do tekstu słowiańskiego, w r. 1491, to jest *we* 36 *lat po wynalezieniu druku*. A więc i pierwsza stała drukarnia białoruska w Krakowie datuje się od tegoż roku. Podaliśmy datę wyjścia pierwszej białoruskiej książki w r. 1491, ale Estrejcher domyśla się, że jeszcze w r. 1483 wyszedł w Krakowie *Triod cwietnaja*, czego też dowodził Zacharyjasz Kopysteński w Palinodyi, r. 1621. Założycielem tej pierwszej drukarni białoruskiej w Krakowie był Swiętopełk *Fiol*, Polak (a nie Niemiec jak mylnie sądzili: Bandtkie, Strojew, Sopikow i inni), mieszczanin krakowski, którego rodzina przed stu laty przesiedliła się z Niemiec do Krakowa. (Ob. moje: Odczyty o literaturze narodów słowiańskich, 1874, str. 25). Białorusini wyprzedzili Polaków pod względem ogłoszenia drukiem *Biblij*, o lat 44, a nawet w ogóle w liczbie słowiańskich Biblii, białoruska zajmuje drugie miejsce, gdy bowiem pierwsza Biblija u ludów słowiańskich wyszła u Czechów w r. 1488, drugą była białoruska, w r. 1517, trzecia kraińska w roku 1555, a dopiero czwarta, polska 1561. Jest to przekład słynnego Franciszka Skoryny z Połocka, którego pierwsze księgi wyszły w Pradze w roku 1517, a cały druk skończony w Wilnie u Mamoniczów w roku 1525.

[2]) W nowszych czasach znani są jako poeci piszący w czystym języku białoruskim Wincenty Dunin Marcinkiewicz i Artemiusz Darewski Weryha. Syrokomla dobrze znał język białoruski a za duszę porywające jego piosnki znane są wśród ludu, szczególnie w okolicach nowogrodzkich.

W nader ciekawym dyplomataryjuszu miasta Wilna, ogłoszonym przez Dubińskiego, burmistrza wileńskiego w r. 1788, zawierającym przywileje tego grodu, widzimy od r. 1387—1661, 45 ustaw pisanych po białorusku, a mianowicie: od r. 1387—1440, trzy; wielkiego ks. Kazimierza, dwa; Aleksandra, trzy; Zygmunta Starego, ośmnaście; Zygmunta Augusta trzynaście; Stefana Batorego, dwa; Zygmunta III sześć; Jana Kazimierza, jeden. Ostatni dokument w tym języku z roku 1661.

rych 1,835,000, kartofli 1,638,000. W łąki szczególniej obfitują doliny rzeki *Soży*, *Wiechry*, *Proni*, *Basi*, *Resty* i *Druca* (chociaż nie wszędzie) i głównie Dniepru, a nadto wybrzeża jezior w powiecie Siennieńskim. Siana zbiera się rocznie przeszło 13,000,000 pudów.

Handel i przemysł na niskim stopniu pod względem fabrycznym, znaczny jest z powodu handlu na wielką skalę drzewa budowlanego, węgli, dziegciu, smoły, potażu, a nadto lnu, konopi i wódki. Nad Dnieprem i Sożą budują statki rzeczne, jako to: bajdaki, barki i berlinki i na nich przewożą wspomniane wyroby do południowych gubernij. Nadto Dźwiną spławiają do Rygi drzewo budowlane, len, potaż i konopie. Takich statków rocznie odpływa z gubernii przeszło tysiąc, oprócz tratew około 500. Wartość wywozowego towaru, wraz ze statkami, które najczęściej sprzedają na drzewo wynosi blisko do 2 milijonów rubli.

Fabryk i zakładów rękodzielniczych w roku 1871 było 388, w nich pracujących 1,451; wartość wyrobów wynosiła 1,012,230 rubli. Oprócz tego gorzelni było 84, dały one 281,916 wiader okowity. Miodowarni było 4, piwowarni 25, zakładów wyrobów ze spirytusu 9.

W roku 1871 w gubernii Mohilewskiej było 275,000 koni; 333,000 bydła rogatego; 320,000 owiec i 252,000 świń. Wypada zatem na 100 mieszkańców: koni 29,8; bydła $35,_{3}$; owiec $36,_{0}$ i świń $24,_{2}$.

We wszystkich 11-tu powiatach, uczą̨stków czyli stanów policyjnych liczą 36; zarządów włościańskich 39. Miast jest w ogóle 93, gmin 204, miejskich i wiejskich osad 6,338.

Właścicieli ziemskich było 8,521, w posiadaniu których pozostaje 2161479 dziesięcin ziemi. Z liczby tych mniejszych właścicieli, posiadających od 1 do 100 dziesięcin gruntu jest 6,867, a liczba posiadanej przez nich ziemi wynosi 130,967; następnie posiadających od 100 do 500 dziesięcin 823, którzy mają ziemi 192,116; większych właścicieli, którzy mają od 500 do 1,000 dziesięcin 301, a ilość ziemi do nich należąca 210,670; nakoniec takich, którzy posiadają więcej jak 1,000 dziesięcin 530, a liczba ziemi w ich posiadaniu 1627726 dziesięcin wynosi.

Ludność gubernii w r. 1872 wynosiła: 476,295 głów płci męskiej i 484,552 płci niewieściej, razem 960,847. Od roku 1867 ludność zwiększyła się o 51,899 głów. A zatem na jedną kwadratową milę wypada 1049, a na jedną kwadratową wiorstę $22,_{5}$ głów. Na 100 mężczyzn wypada $103,_{1}$ kobiet.

W r. 1870 liczono: szlachty 18,761; duchowieństwa 7,557; miejskiej ludności 162,697, wiejskiej 720,550; wojskowych 37,743; cudzoziemców 318. Stąd wynika, że szlachty jest 2%, duchowieństwa $0,_{7}$, mieszkańców miast $10,_{7}$, mieszkańców wsi $76,_{1}$, wojskowych $3,_{6}$, cudzoziemców $0,_{3}$.

Podług wyznań w r. 1872 liczono: prawosławnych 779,580; starowierców 14,700; katolików 33,277, protestantów 1338, żydów 118,727, mahometanów 3. A zatem prawosławnych 79%; katolików $3,_{8}$; starowierców $1,_{6}$; żydów $16,_{3}$.

Podług szczepów (stosownie do urzędowych źródeł): Białorusinów 759,845; Wielkorossyjan 16,700; Polaków 26,115 i żydów 118,727. Podług de Liwrona zaś na 100 mieszkańców wypada: Białorusinów i wielkorosyjan $83,_{6}$; polaków $2,_{8}$; żydów $13,_{3}$.

Są tu jeszcze Cyganie, których liczba niewiadoma. Zaliczeni oni są do gmin włościańskich, chociaż prowadzą życie wędrowne, stałych osad wcale nie mają. Zimą nocują w stodołach wiejskich, a w lecie w namiotach. Przed laty, ś. p. Gaudenty Hołyński usiłował koniecznie zrobić z nich stałych osadników i dla tego własnym kosztem wybudował dla nich wygodne domy. Zimę przemieszkali, a na wiosnę domy zostały pustkowiem.

Ruch ludności w gubernii przedstawia następujące przeciętne dane (podług wyliczeń od r. 1859—1863), liczba rodzących się, płci męskiej 22,592; płci niewieściej 21,013; razem 43,605. Liczba umarłych: płci męskiej 14,393 płci niewieściej 14,071, razem 28,464. A zatem zwiększenie ludności stanowi 15,141. Ślubów małżeńskich było 9,234. Wypada zatem, że na 100 mieszkańców rodzi się $4,_{75}$, umiera $3,_{12}$, ślubów małżeńskich $1,_{00}$. Na 100 mieszkańców przybywa ludności: w miastach $0,_{33}$, we wsiach $1,_{78}$, w gubernii $1,_{65}$.

Gubernija Mohilewska nadzwyczaj jest bogatą w zbiorowiska wody. Ogólna liczba rzek, rzeczek i strumyków wynosi z górą 1000. Rzeki tutejsze należą do dwóch głównych bassenów: Dnieprowskiego i Dźwiny zachodniej. Ostatnia tylko z północnej strony ma kilka przytoków, przeciwnie Dniepr ma w tej gubernii 249 przytoków (z tych większych rzek 97), a Soż, główny przytok Dnieprowy, 333 (z tych większych 88).

Wspaniały Dniepr wypływa w gubernii Smoleńskiej w powiecie Bielskim, z błot w lasach Wołkowyskich i niewielkiego jeziora Mszara należącego do wsi Zabołocie, przebiega 9 gubernij, na przestrzeni 1700 wiorst i wpada do morza Czarnego. Bassen tej wielkiej rzeki zajmuje powierzchnię 11,500 mil geograficznych, zaludnionych przez 12 milijonów mieszkańców. W gubernii Mohilewskiej Dniepr przebiega 4,10 wiorst. Głębokość jego wynosi do 20 sążni, a szerokość dochodzi do 160 sażni, ale w czasie wylewów wiosennych, w niektórych miejscach zalewa przestrzeń na wiorst kilka. Dniepr zwykle zamarza w końcu listopada i trzyma się tak do końca marca.

Przytoki Dniepru: *Soż*, także jedna z większych rzek, przebiega bowiem w tej gubernii 300 wiorst a szerokość jej w niektórych miejscach dochodzi do 70 sążni. *Druc*, przebiega 260 wiorst. Berezyna przebiega tu tylko dwie mile. Z przytoków Soży zasługują na uwagę *Biesied* przebiegająca 115 wiorst, *Iput*, *Pronia* i w. i.

Dźwina Zachodnia płynie w gubernii tylko na przestrzeni 27 wiorst. Z przytoków jej ważniejsze są: *Łuczessa*, *Czernica*, *Suchodol*, *Obol*.

Jeziora w znacznej liczbie znajdują się w dolinach Dniepru i Soży.

Pod względem zarządu duchownego prawosławni mają tu własną dyecezyją. Biskupi tytułują się: Mohilewski i Mścisławski. W r. 1872 było: soborów (cerkwi katedralnych 5, cerkwi 750, parafij 521, klasztorów męskich 8, niewieścich 4, mnichów 102, zakonnic 170, duchownych świeckich 519, do posług cerkiewnych (pryczotników) 728.

Główny zarząd archidyjecezyi rzymsko-katolickiej Mohilewskiej w jest Petersburgu, gdzie rezyduje arcybiskup-metropolita, jego sufragan, kapituła, którą składają 5 prałatów i 6 kanoników. Tamże konsystorz i seminaryjum. Gubernija podzielona na dekanaty: Mohilewski, Mohilewsko-Horecki, Rogaczewo-Bychowski, Homelski, Czerykowo-Czausowski, Klimowicko-Mścisławski, Orszański i Siennieński.

Guberniję Mohilewską przerzynają dwie koleje żelazne: Moskiewsko-Brzeska i Landwarowo-Romeńska.

Drogi szosowe: idąca z Moskwy do Warszawy, w gubernii Mohilewskiej przez Bóbr, Kochanowo, Orszę i Lady i z Petersburga przez Witebsk do Kijowa, przechodzi w Mohilewskiej gub. przez Babinowicze, Orszę, Mohilew, Propojsk, Czeczersk, Homel, Stary Bychów i Rochaczew. d. c. n.

GAWĘDY HIGIJENICZNE I LEKARSKIE.

XV.

Co i jak powinniśmy jeść?

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Co powinniśmy jeść? jest to pytanie żywotne, obok którego postawić wypada drugie, nie mniej ważne: *jak powinniśmy jeść?* Ażeby pytania te rozstrzygnąć w sposób zadawalniający i dla każdego pojętny, powiemy wprzódy kilka słów o budowie ustroju ludzkiego, o jego odżywianiu oraz o trawieniu.

Z budową ciała naszego, dzieje się toż samo, co z budową domu. Wiadomo, że dla wzniesienia tego ostatniego potrzebne są rozmaite materyjały, np. drzewo, żelazo, glina, szkło i t. d. Lecz wszystkie te materyjały muszą być poprzednio przerobione w pewien sposób, stosownie do swego przeznaczenia, np. drzewo na deski i belki, żelazo na blachę, gwoździe i t. d., gdyż wtedy dopiero stają się one zdatnemi do budowy murów i pokojów z drzwiami, oknami, piecami, zamkami. W skład ustroju ludzkiego wchodzi także mnóstwo różnych materyj, jak np. woda, materyje białkowate, tłuszcze, sole, wapno, żelazo i t. d. Wszystkie jednak te materyje muszą być poprzednio wewnątrz samego ustroju przerobione na najdrobniejsze cząsteczki, mianowicie: na pęcherzyki (komórki), włókienka, cewki, błony i t. d., albowiem w takiej tylko postaci mogą one służyć do utworzenia większych przyrządów i narzędzi, jak: kości, chrząstek, mięśni, nerwów i t. p.

Materyjały, potrzebne do budowy domu znane są każdemu i łatwo dadzą się odróżnić; tymczasem materyje, z których składa się nasze ciało, mogły być odkryte jedynie przez chemików, i rzeczywiście są im znane. Główną częścią składową, nie tylko ustroju ludzkiego i zwierzęcego, lecz także i roślin, jest *woda* (stanowiąca prawie 3/4 całego ustroju). Znajduje się ona we wszystkich częściach naszego ciała: nie wyłączając i najtwardszych. Po niéj, najważniejszemi dla ustroju są *materyje białkowate*, stanowiące zasadniczą część wszystkich tkanek w naszem ciele, w skutek

czego zowią się one także tworami tkankowemi; od nich to głównie zależy nasza siła. W liczbie materyj białkowatych, wchodzących w skład ustroju ludzkiego, do ważniejszych należą: *białko*, *włóknik*, *sernik* i *klej*. W dużej także ilości i w rozmaitej postaci, znajdują się w naszym ustroju, *tłuszcze* (olein, stearyn, margaryn i t. d.); bez nich istnienie ustroju byłoby niemożebnem. Z pomiędzy soli, do najkonieczniejszych należą: *sól kuchenna* i *sole potażowe*. Wielkie znaczenie mają również: *wapno*, *żelazo*, *siarka*, *fosfór*, oraz wiele jeszcze innych materyj, po większej części połączonych z białkowatemi, wchodzących w skład ustroju i służących do jego odżywiania.

Każdy budynek, jak wiadomo, ulega przez czas i użycie uszkodzeniu do pewnego stopnia, a zatem dla utrzymania w dobrym stanie, wymaga ciągłej naprawy. Rozumie się jednak samo przez się, że uszkodzone części mogą być doprowadzone do poprzedniej postaci, tylko za pomocą tego materyjału, z którego są zrobione, np. dla naprawienia okna niezbędnem jest szkło, dla naprawienia muru cegła, dla zamku żelazo i t. d. Toż samo da się powiedzieć i o naszym ustroju. *Dopóki żyjemy, wszystkie jego części ulegają bezustannemu zużyciu*, ażeby więc ustrój nie obumierał, lecz pozostał zdrowym, okazuje się konieczna ciągła odnowa wszystkich zużytych jego części, za pomocą tych materyj, które pierwiastko wchodziły w skład każdej części; a mianowicie: mięśni, za pomocą materyj białkowatych; kości, za pomocą kleju i wapna; nerwów, za pomocą białka i tłuszczu, i t. d.

Ciągłe zużycie (obumieranie), wszystkich części naszego ustroju i zastępowanie ich nowemi (odnowa), zowie się *przemianą materyj*. Dopóki trwa owa przemiana, dotąd *żyjemy*; skoro ustanie, *umieramy*; gdy zaś odbywa się nieprawidłowo, wówczas *chorujemy*. Utrzymanie zatem w porządku przemiany materyj, powinno być głównem zadaniem dla każdego człowieka, pragnącego żyć i być zdrowym.

Materyje, wchodzące w skład ustroju, to jest: woda, materyje białkowate, tłuszcze, sole, wapno, żelazo, siarka i fosfór, nie powstają same przez się wewnątrz ustroju, lecz *muszą być doń doprowadzone z zewnątrz*, i to koniecznie w odpowiedniej ilości oraz dobroci. Cel ten zostaje osiągniętym przez użycie pokarmu, potraw i napojów. Narzędzia trawienia, przy pomocy różnych soków (śliny, soku żołądkowego i trzustkowego żółci), przerabiają w taki sposób przyjęty pokarm, że najlepsze jego części składowe przechodzą w krew i służą do utworzenia tkanek.

Każdy budynek, wtedy tylko zdatnym jest do zamieszkania, jeśli temperatura w jego pokojach jest dość ciepłą; dla tego też opalamy te ostatnie, podczas zimnej pory roku. Wewnątrz ustroju, ażeby przemiana materyj mogła odbywać się prawidłowo, okazuje się również niezbędnym pewien stopień ciepła (+ 30° R.). Dla podtrzymania tego ciepła, opalamy także ustrój, chociaż nie za pomocą zwykłego, używanego do pieców paliwa (drzewa, węgla kamiennego i t. p.), lecz zawsze mimo to, za pomocą materyj, podobnych doń składem chemicznym. Do takich materyj należą: tłuszcze, krochmale, cukier i wyskok; znajdują się one w przyjmowanym przez nas pokarmie i po części służą oraz do odżywiania. Niektóre z owych materyj, jak krochmal i cukier, zamieniają się wewnątrz ustroju w tłuszcz, i dla tego zowiemy je tłuszcz tworzącemi.

Z powyższego wynika, że dla zachowania naszego życia i zdrowia, powinniśmy koniecznie umieć wybierać odpowiedni pokarm, co wymaga znów, ażebyśmy wiedzieli, jaki pokarm zawiera niezbędne dla naszego ustroju materyje i w jakiej mianowicie ilości. Im pokarm bogatszy jest w takie materyje, tem bywa pożywniejszy. Tylko *mleko* i *jajka* zawierają wszystkie pożywne materyje w należytej ilości; człowiek więc mógłby żyć, karmiąc się wyłącznie mlekiem lub jajkami. Każdy zaś inny pokarm zawiera albo nie wszystkie takie materyje, albo ilość ich bywa niedostateczną. Koniecznie więc powinniśmy używać pokarm rozmaity i mieszać go (w potrawach) tak, żeby do krwi były doprowadzone w należytej ilości wszystkie materyje, niezbędne do odnowy obumierających części naszego ustroju. Nigdy nie trzeba używać za pokarm, wyłącznie samych materyj białkowatych lub samych tłuszczów, lecz przeciwnie, należy wybierać taki pokarm, któryby zawierał dostateczną ilość białka, tłuszczów i materyj tłuszcz tworzących; stąd, ważną jest rzeczą łączyć razem pokarm zwierzęcy i roślinny, gdyż pierwszy zawiera zbyt mało tłuszczów i materyj tłuszcz tworzących, a drugiemu zbywa na materyjach białkowatych. Używając wyłącznie samo mięso bez tłuszczu, ser lub białko jajka, narazilibyśmy się na powolną śmierć głodową, podobnie, jak gdybyśmy spożywali same tłuszcze, masło lub żółtko. Pokarm roślinny wtedy tylko staje się zdatnym do użycia, jeśli zawiera w dostatecznej ilości wyżej wzmiankowane materyje pożywne t. j. białkowate oraz tłuszcz tworzące (krochmal, cukier). Kartofle, składające się prawie wyłącznie z samej mączki (krochmalu), są zupełnie niezdatne do odżywiania, zwłaszcza gdy mają stanowić główny pokarm. Zarówno, każdy inny mączny pokarm, a szczególniej chleb, wtedy tylko okazuje się pożywnym i pożytecznym, skoro prócz krochmalu zawiera nadto klej (t. j. materyją białkowatą, podobną do żółtka jajka, która znajduje się w nasionach zbóż, tuż pod osłonką). Chleb, przygotowany z mąki nieoczyszczonej z otrąb, powinien być pożywniejszy od chleba bez otrąb, w których to ostatnich pozostaje dużo kleju. Jednakże otręby czynią chlèb mniej strawnym, i dla tego nie można zalecać użycia podobnego chleba osobom ze słabem, rozstrojonem trawieniem.

Wiedząc już, *co* powinniśmy jeść, zastanówmy się teraz nad niemniej ważnem pytaniem, *jak* mamy jeść? Ludzie, szczególniej biedni, jedzą tak po większej części, że pokarm nie przynosi im tego pożytku, jaki zeń możnaby osiągnąć, przez co marnują prawie pieniądze na ten cel wydane. Trzeba bowiem wiedzieć, że znaczniejsza część materyj pożywnych, jeśli nie tak bywa używaną, jak należy, wówczas zamiast przejść w krew, zostaje z ustroju wydaloną razem z kałem. Ażeby temu zapobiedz, konieczną jest rzeczą, dobrze przygotować i dostatecznie rozdrobnić (żżuć) zębami, każdy pokarm trwardy, a zwłaszcza mięso, gdyż przez to soki (głównie zaś kwaśny sok żołądkowy) mogą łatwiej w żołądku i przewodzie kiszkowym połączyć się z owym pokarmem i takowy rozpuścić. Im bardziej jakikolwiek pokarm jest płynny i rozmiękczony, im prędzej może być przyprowadzony do takiej postaci w przyrządzie trawienia, oraz im łatwiej mogą go przeniknąć soki trawiące, tem więcej bywa on strawny i tem łatwiej przechodzą w krew pożywne jego części.

Sposób więc przygotowania pokarmu posiada bardzo ważne znaczenie. Dobrze ugotowany lub upieczony, miękki kawałek mięsa, podobnie jak dobrze zżuty, daleko jest strawniejszym od twardego lub źle zżutego mięsa. Jajka na twardo są bardzo trudne do strawienia, gdy tymczasem, ugotowane na miękko, żołądek trawi nadzwyczaj łatwo. Twarde, nierozpuszczalne, a zatem trudnostrawne części pokarmu, jak łuski, łupiny, ziarna, liście i t. p., osłaniając rozpuszczalne, łatwostrawne materyje pożywne, tamują przystęp do nich soku żołądkowego i nie pozwalają im rozpuścić się. Tak np. niestarte owoce strączkowe (również nasiona zbóż), zostają wydalone z żołądka, nie będąc prawie wcale strawionemi. Bardzo tłuste materyje, stają się także trudnemi do strawienia, skoro płynny tłuszcz, nieprzenikliwy dla wodnistego soku żołądkowego, otoczy zupełnie rozpuszczalne ich części. Mleko, jeśli pijemy je zwolna, w małych ilościach, i spożywamy jednocześnie chleb, zsiada się w żołądku w niewielkie kawałki, które sok żołądkowy łatwo przenika i dostatecznie je rozpuszcza. Przeciwnie, znaczna ilość mleka wypita na raz jeden i szybko, tworzy w żołądku duże kawałki twarogu, długo opierające się rozpuszczeniu przez sok żołądkowy. Z kilku tych przykładów, czytelnik może już przekonać się, o ile ważnym jest sposób użycia pokarmu.

Skoro raz przyjmiemy za zasadę, że ludzie, zarówno jak zwierzęta i rośliny, nie mogliby żyć bez pokarmu, że pokarm ten powinien składać się z pewnych materyj pożywnych (mianowicie takich, które wchodzą w skład ustroju), i że wszystkie te materyje muszą być tak przerobione za pomocą sprawy trawienia, ażeby mogły przejść w krew i służyć do utworzenia tkanek, to nie trudno pojąć, jak wielkie ma znaczenie wybór pokarmu oraz sposób przygotowania go i użycia. Głównie, potrzeba starać się o dostarczenie ustrojowi odpowiedniej ilości wody, materyj białkowatych (dla utworzenia tkanek), tłuszczów i materyj tłuszcz tworzących czyli paliwa. Odnośnie do materyj białkowatych, wypada nadmienić, że nie stanowi to wielkiej różnicy, czy one będą użyte w takiej postaci, w jakiej znajdują się w ustroju, czy też w innej,—byleby zostały doń doprowadzone, przeróbka zaś ich odbywa się sama przez się. Toż samo można powiedzieć i o tłuszczach. Nie mając zatem włóknika mięsnego, można go zastąpić serem, białkiem jajka, lub nawet klejem ziarn zbożowych i leguminem (sernik roślinny) owoców strączkowych. Tłuszcz mięsny, masło i żółtko jajka, można zastąpić olejami roślinnemi lub materyjami tłuszcz tworzącemi (zawierającemi krochmal lub cukier). Tym sposobem przy-

roda pozostawiła człowiekowi wielki wybór materyj pożywnych. Bez względu jednak na to, zdarzają się wypadki, w których trudno jest nabyć dobry pokarm, lub kiedy narzędzia trawienia, rozstrojone czy też osłabione w skutek choroby, nie są w stanie strawić zwykłego pożywienia. Na takie wypadki, nauka odkryła możność przygotowania z różnych materyj pożywnych stosownego pokarmu, odznaczającego się tem, że nawet w najmniejszej ilości bywa on dość pożywny, może być zachowany przez czas długi, łatwo się przyrządza, wygodny jest do przewożenia i okazuje się łatwostrawnym nawet dla słabego żołądka. Z podobnych, sztucznie przygotowanych materyj pożywnych, wygodnych do użycia szczególniej podczas wojny i wszelkich wypraw na lądzie i morzu, w szpitalach, w fortecach, na okrętach, przy różnych cierpieniach żołądka i kiszek, przy niedokrwistości i ogólnem osłabieniu ustroju, znane są nam: wyciągi mięsne, wyciągi słodowe, suche mleko i surrogaty mleczne. Pomiędzy niemi, najważniejsze znaczenie posiada *wyciąg mięsny Liebiga*, o nim więc najprzód podamy tutaj bliższe szczegóły. d. n.

NASZE CZASOPISMA.

II.

Przemysł i handel. — Któż dopomoże? — Och! gdyby to czytano i rozumiano! — Panowie wydawcy i pani publiczność. — Odezwa bez skutku. — Atramentum perdidi!

A propos dziennikarstwa pomówmy o przemyśle krajowym...

Jak szuwaks, zapałki, materyje jedwabne i wełniane, półgąski i marynaty, tak i literaturę w przeważnej części sprowadzamy z zagranicy.

Oto jest twierdzenie, które w krótkich słowach postaram się uzasadnić i dowieść. Rzecz będzie nie trudna, bo o ubóstwie swojem wszyscyśmy podobno najmocniej przekonani. Ale nie idzie tu o ubóstwo, tylko o niezaradność, jak się niebawem z pewnością przekonamy.

Co jest najbardziej popłatne nie tylko w naszym ale i we wielu innych społeczeństwach? Ba! a któż na to odpowie! Są gusta i gusteczka. Prawda. Mówiąc i myśląc ciągle o literaturze, zdawało mi się, że nikt nie może zastosować mego pytania do niczego innego jak tylko do literatury. Zgrzeszyłem, biję się w piersi i stawiam dokładniej pytanie: Jaki rodzaj utworów literackich przypada czytelnikom naszym najwięcej do gustu? Powieść, nieprawdaż?

Otoż jeżeli powieść najwięcej ludzi pociąga do siebie, to naturalną jest rzeczą, że wedle prawa ekonomicznego, popyt wywołuje podaż. To znaczy ponieważ potrzeba wielkiej masy powieści, więc wydawcy starają się potrzebie tej uczynić zadosyć. I nie ma co mówić, zadosyć czynią. Ale jak? czy myślicie, że za pomocą płodów krajowych, za pomocą powieści oryginalnych? Broń Boże! Jeżeli np. królestwo Polskie potrzebuje rocznie 80 powieści, to z pewnością wyjdzie oryginalnych 30 a tłómaczonych 50. Nie mówię tego na wiatr; ale opieram się na dokładnych spisach z lat kilku. Tak jest. Produkcyja krajowa nie może nastarczyć potrzebie, więc sprowadzamy płody zagraniczne byle jakie i byle jak, na nasz stół przyrządzone. Stąd w przekładach powieści nie oglądają się oczywiście za arcydziełami albo przynajmniej za utworami takiemi, któreby istnienie swoje w naszej literaturze duchową *koniecznością* tłómaczyły; lecz poprostu dbają o zapełnienie szeroko rozwartych a pustych szpalt w czasopismach.

Rzecz naturalna. Przekłady powieści nie wymagają wielkiego *trudu* ani *wydatku*. Dwie te okoliczności wpływają podwójnie na piśmiennictwo: wytwarzają ludzi, zajmujących się mechaniczną niemal pracą *przekładania* z jednego języka na drugi, przyczem często, czy to z pośpiechu czy z nieumiejętności popełniają się grube błędy; a powtóre druga okoliczność, kwestyja taniości, wypiera z pism utwory oryginalne, zniechęca powieściopisarzy lub też kwalifikujących się do tego zawodu i zapycha nasze dzienniki i tygodniki masą cudzoziemskiego towaru. Pytanie o pożytek literatury staje się w takich razach rzeczą obojętną. Nie mówię ja już bowiem o wyzyskiwaniu brudnych instynktów, chociaż i to się zdarza, jeżeli nie w naszych czasopismach, to w oddzielnych wydawnictwach. Ale chodzi mi tu przedewszystkiem o brak umiejętnego wyboru z pośród stosów, utworzonych przez wielojęzyczne powieści, którychby dużo wypadało przejrzeć, nimby się wreszcie na jakąś dobrą i użyteczną natrafiło.

Zupełnie inaczej rzeczby się miała, gdyby utwory talentów krajowych pierwsze potrzeby zaspokajały; gdyż wówczas przekładanoby z języków obcych takie tylko dzieła, których umysłowość nasza wytworzyć niezdolna z powodu albo narodowego charakteru, albo mniej przyjaznych okoliczności. Wówczas literatura nasza *wzbogacałaby się* tłómaczeniami, kiedy dzisiaj *zapełnia się* tylko.

Zapełnia się! Zapełnia się! mógłby kto powiedzieć. Co tu gadać o zapełnianiu, kiedy powieść dzisiejsza w całej Europie w ogóle zmalała i nie ma już tego interesu ani tej wartości, jaką miała przed kilku dziesiątkami lat.

Na te wywody jednego ze Stańczyków krakowskich odpowiem tak. Na pańskie zbyt absolutne zdania zgodzić się nam trudno; gdyż mamy przed oczyma przykłady żywotności romansu w literaturze angielskiej, niemieckiej a nawet francuskiej i czeskiej. Ale gdybyśmy się nawet i zgodzili, to pozostałoby nam do przekładu wiele dzieł znakomitych z czasów ubiegłych, któreby daleko więcej wzbudzały zajęcia, daleko świeżejby wyglądały, niż niejedne z dzisiejszych. Przedewszystkiem zaś potrzeba sumiennie poszukiwać dzieł dobrych i z namysłem do wyboru przystępować.

Dwa te atoli warunki wtedy dopiero spełnione być mogą, kiedy zaspokojone zostanie wymaganie, ażeby produkcyja krajowa wystarczała potrzebom najpilniejszym czytającej publiczności.

Żądań naszych pod tym względem nie posuwamy zbyt daleko. Pragniemy jednak, ażeby na początek nastąpiła równowaga, to jest żeby liczba powieści oryginalnych wyrównywała rocznie liczbie powieści tłómaczonych, gdy dotychczas stosunek ten, jak widzieliśmy, o wiele gorzej się przedstawia.

Mamy w Warszawie czasopisma, żywiące się prawie wyłącznie samemi tłómaczeniami, np. Tygodnik romansów i powieści, Biblijoteka romansów, Wędrowiec, Gazeta Warszawska. Panowie wydawcy! czy nie wartoby było pomyśleć trochę o dobru literatury? Powiecie może, że nie ma dosyć talentów w kraju, ażeby mieć powieści oryginalne. Macie w części racyją, ale tylko w części. Gdybyście pragnęli, znaleźlibyście to, czego dziś nie macie. A potem, gdyby wszystkie nasze pisma jednakowo się starały o utwory oryginalne, pojawiłyby się bezwątpienia talenta, dziś inną zajęte pracą, gdyż nie widzą możności zużytkowania swej pracy na polu powieściowym.

Kwestyja stosunku naszej literatury oryginalnej do tłómaczonej zależy, jak się zdaje, przeważnie od wydawców. Jeżeli ci, co mogą, nie zechcą skąpić na wydawnictwa, na których dobrze wychodzą, jeżeli postarają się czynnie protegować wytwór krajowy, to producenci się znajdą, gdyż kraj nasz, dzięki Bogu, nie jest pozbawiony zdolności i talentów; a brak mu tylko środków do ich zużytkowania.

Tyle przyznając wydawcom, nie można jednakże nie przemówić słów kilku do publiczności. I ty, szanowna publiczności, winnaś wiele nawałowi tłómaczeń, gdyż wolisz pasztety sztrasburskie niż budyń, wolisz to, co przychodzi z za gór i mórz, niż to co się rodzi w kraju. Wołali na ciebie publicyści, zaklinali na wszystkie świętości, ażebyś się pozbyła bałwochwalstwa zagranicy; a ty nic... Trwasz przy swojem jak głucha; dopytujesz się tylko ciekawie o Dumasa i Gaboriau. Trudno, żeby mój słaby głos miał co u ciebie zaważyć; mówię też głównie dla spokojności sumienia. Niech potomność nie powie, że w siódmym dziesiątku XIX stulecia nie było nikogo, coby przemawiał za krajową produkcyją w literaturze.

Ale któż wie? Może też publiczność na złość pesymistom i mnie, chcąc przytem zadać kłam wierszowi Julijusza, że u nas myśl nie trwa ni godziny, zechce łaskawie rozważyć tę sentencyję moralną. „Trzeba o sobie samych pamiętać, kiedy nikt o nas nie pamięta.

X.

GAWĘDY OGRODNICZE.

V.

Główne sposoby sztucznego rozmnażania roślin.

Ludzie naśladujący we wszystkiem naturę, oddawna zauważyli że używa ona do rozmnażania roślin nietylko samego rozsiewania nasion, lecz także i innych dowcipnych sposobów. Tak np. jedne rośliny wypuszczają z siebie cienkie odrostki, wąsy i na nich w pewnych miejscach tworzą się nowe roślinki, jak to bywa u poziomek; to znów łodyga podziemna posuwa się coraz dalej końcami swemi a z niej wyrastają nowe egzemplarze; to nareszcie w pewnych miejscach łodygi tworzą się różnokształtne kulki lub wyrostki często do nasion podobne i te upadłszy na ziemię wschodzą, jak to się dzieje u niektórych cebul, lilij i t. p.

Wszystkie te liczne przykłady naprowadziły człowieka na drogę rozmnażania roślin innemi sposobami niż z nasion. Rozmnażanie takie nazywa się sztucznem, podczas gdy otrzymywanie roślin z nasion jest naturalnem. Posługujemy się sztucznem rozmnażaniem wtedy, gdy z nasienia nie można otrzymać roślin posiadających pożądane dla nas zalety. Tak np. nasienie róż pełnych wydaje dziką różę, tymczasem przez sztuczne rozmnażanie można ciągle róże z pełnym kwiatem otrzymywać.

Nie wdając się zbytecznie w klasyfikacyją sposobów sztucznego rozmnażania polegającą głównie na tem, że rośliny mnożyć można ze wszystkich ich organów, w niniejszym artykule zajmiemy się tylko sposobami głównie mającemi zastosowanie w praktyce.

Trzy są najważniejsze grupy mnożenia roślin: szczepienie, odkładanie i sadzonkowanie; polegają one w ogóle na żywotności szczególnej łodygi, która w najdrobniejszej części tejże, tak silnie się przejawia jak i w całości.

Szczepienie stosujemy w praktyce głównie do roślin drzewiastych. Zasadza się ono w krótkich słowach na połączeniu części jednej rośliny z drugą, przyczem praktyka nauczyła, że jeżeli uczyniono zadość pewnym warunkom, to część zaszczepiona rośnie na nowej roślinie w dalszym ciągu tak zupełnie, jakby na roślinie z której jest odjętą. Zwykle odmiany lub gatunki lepsze szczepimy na gorszych, otóż część rośliny szlachetnej, którą zaszczepić mamy nazywa się *zrazkiem*, roślina zaś na której się szczepi *dziczkiem* lub *podkładką*.

Wspomnieliśmy że szczepienie udaje się tylko przy zachowaniu pewnych warunków. Oto one:

1) Szczepić można tylko rośliny bardzo do siebie podobne, np. dobre odmiany grusz na jakiejkolwiek gruszy dzikiej, lecz grusze na wierzbach, ani róże na dębach nie udają się; co jak niektórzy mniemali miało wydawać róże czarne.

2) Miazgi zrazka i dziczki powinny się znajdować w zetknięciu przynajmniej na kilku punktach, należy bowiem wiedzieć że miazga jestto tkanka soczysta pomiędzy korą i drewnem położona, tem szczególna że komórki jej mają własność rozmnażania się. Otóż jeżeli miazga zrazka zetknie się z miazgą dziczka, wytwarza się zwykle z ich zobopólnego działania warstewka komórek spajających obie te obce dotąd dla siebie części; soki dziczki przedostają się do zrazka, zaczynają go żywić, rozwijają się pączki i liście, szlachetna roślina żyje na dzikiej i wydaje wspaniałe kwiaty lub smaczne owoce.

Są jeszcze inne warunki na które przy szczepieniu zwracać należy uwagę, tak np. można szczepić rośliny tylko w czasie zimowego spoczynku czyli wtedy gdy nie rosną, co ma miejsce zwykle od jesieni do wiosny, nadto nacięcia powinny być robione ostrym nożem i zabezpieczone od przystępu powietrza przez zasmarowanie maścią.

Najprostszy sposób szczepienia *przez zbliżenie* polega na zetknięciu dwóch roślin; szlachetnej i nieszlachetnej, rosnących obok siebie. W tym celu robi się nacięcia do rdzenia sięgające, składa się obie części nacięte, związuje i zasmarowywa maścią ogrodniczą. Wkrótce obie rośliny zrastają się a po upływie roku odcinamy wierzchołek lepszej pod punktem zaszczepienia i otrzymujemy dwa egzemplarze. Sposób ten naśladowany z gałęzi drzew leśnych, które często zbliżone do siebie przypadkowo, zrastają się, stosowanym bywa do roślin oranżeryjnych i umacniania żywych płotów.

Najlepszym a zarazem najdogodniejszym w zastosowaniu sposobem jest szczepienie przez *łączenie* (stosowanie, kopulizacyja), wymagające tylko żeby zrazy były tak grube jak dziczki. W łączeniu ścina się ukośnie zrazek podobnież i dziczek, składa się je ze sobą żeby dobrze pasowały, obwiązuje i zasmarowywa.

Drzewka szczepione w ten sposób tak doskonale zrastają się i goją rany, że trudno po kilku latach poznać gdzie nacięcie zrobiono.

Mniej praktyczne od łączenia jest *szczepienie w szparę* stosowane do dziczków bardzo grubych. Przy szczepieniu w szparę rozłupuje się pieniek w kierunku osi i zasadza w szparę zraz zacięty klinowato. Widocznem jest że duża rana z trudnością i długo się goi. Przy szczepieniu opisanem powyżej używamy zrazków będących częściami gałązek, opatrzonych dwoma lub trzema oczkami. Jest jeszcze inny sposób szczepienia, polegający na użyciu za zrazek jednego tylko oczka i to w czasie wzrostu roślin — jestto *oczkowanie* (okulizacyja).

W dwóch epokach można oczkować rośliny; albo z wiosny dopóki pierwszy przypływ soków nie minie, albo też zaczynając od sierpnia do pierwszych przymrozków. W pierwszym przypadku zwykle oczko tegoż samego lata jeszcze wyrasta w pęd nowy stąd oczkowanie wiosenne zowią inaczej oczkowaniem w *żywe oczko*. Z oczek zasadzonych w jesieni czyli *martwych*, wychodzą pędy dopiero w roku następnym. Oczkowanie ostatnim sposobem lepsze jest, bo pędy wychodzące z żywego oczka nie mają czasu dobrze zdrzewnieć do jesieni, a zatem od silnych mrozów łatwo giną, podczas gdy martwe oko łatwo zimuje. W każdym razie postępowanie przy oczkowaniu wiosennym czy jesiennem jest jednakowe. Oczka siedzą w kątach ogonków liściowych, ucinamy przeto na zraz pęd tegoroczny dobrze już sformowany, odejmujemy nożem blaszki liściowe aż do ogonków, żeby nie wyciągały niepotrzebnie soków ze zraza i nożykiem do oczkowania, zdejmujemy tarczę kory wraz z liściem i oczkiem. Cała zręczność i wprawa przy tej czynności polega na wprowadzeniu końca nożyka pod korę i przecięciu wiązki włókien drzewnych, które z łodygi zraza do oczka wchodzą i niezbędnie są potrzebne żeby oczko mogło się zrosnąć z dziczkiem i wydać pęd. Często bardzo przy zdejmowaniu tarczy pomieniony kawałeczek drewna zwany *duszą* wyskakuje a oczko *oślepione* wtedy, jak mówią ogrodnicy, na nic nie jest przydatne.

Otrzymawszy oczko, bierzemy je do ust tak jednak żeby nie oślinić a tymczasem na korze dziczka w gładkiem miejscu robimy nacięcie w kształcie litery, brzegi kory unosimy kostką i przez otwór wsuwamy tarczę trzymając ją i popychając za ogonek liścia, poczem obwiązujemy ranę łyczkiem lub włóczką i oczkowanie skończone.

Odkładanie. Łodygi wszystkich roślin zielnych czy drzewiastych w zetknięciu z ziemią wilgotną łatwiej lub trudniej puszczają w miejscu zetknięcia korzenie i żywią się niemi. Po pewnym czasie dosyć jest tak zakorzenioną część łodygi odciąć od macierzystego pnia, żeby nową roślinę otrzymać. Tak puszczają korzenie dzikie bluszcze, przetacznik (veronica), koszysko (verbena), a z zamorskich rozmaite figi, lijany i t. p.

Przez odkładanie rozmnażać można rośliny w ciągu całego lata. Czynność to bardzo prosta, polega bowiem na dokładnem spulchnieniu i doprawieniu ziemi, nagięciu gałązek do niej, przypięciu ich za pomocą haczyków drewnianych (kulek) i opsypaniu ziemią. Dla wielu roślin proste obsypanie wystarcza np. dla bluszczu, dzikiego wina i t. p. inne jednak trudniej puszczają korzenie i te w miejscu nagięcia nacinać trzeba. Są nareszcie rośliny których gałęzie sterczą do góry a z powodu kruchości naginanemi być nie mogą. Dla takich używamy *odkładów w powietrzu.* Nacina się gałąź w pewnem miejscu lub ściska drutem dla powstrzymania soków, okrywa się mchem wilgotnym lub ziemią i obejmuje doniczką na połowę przeciętą i związaną. W takich warunkach korzenie rozwijają się a po odcięciu otrzymujemy nową roślinę.

Odcinać nie można raptownie od razu, żeby młoda roślinka, nieprzywykła żyć o swojej mocy nie uschła. Zwykle robi się nacięcie do połowy, a po pewnym czasie odcina się zupełnie.

Odkładanie jest sposobem bardzo dogodnym, daje rośliny mocne, dobrze zakorzenione i dla tego obszerne ma zastosowanie w ogrodnictwie do rozmnażania winorośli, agrestów, pigw, rajskich jabłonek używanych na podkładki do szczepienia i t. p. Szczególniej młode krzaki wina z odkładów otrzymane już w drugim roku przynoszą owoce, zwłaszcza też jeżeli odkład zrobiony był w koszu i razem z ziemią przeniesiony na miejsce przeznaczenia.

Sadzonkowanie. Każda część rośliny która może z siebie wydać pączki lub jest już niemi opatrzona, może służyć za *sadzonkę* [1]). Przemiana sadzonki w roślinę polega na tem, że w każdej części rośliny opatrzonej pączkami z materyjału w niej zawartego mogą powstać pierwsze korzenie, które następnie wyżywić ją mogą. Często zdarza się, że tego materyjału budowlanego tyle jest w sadzonce, że i pączki i korzenie jego kosztem powstają. Ogólnie zatem rzeczy biorąc, sadzonka jestto roślina nie posiadająca korzeni,

Żeby się w sadzonce rozwinąć mogły te ważne organa odżywiania, należy zachować pewne ostrożności będące w związku z warunkami w jakich się sadzonka znajduje. Ponieważ jestto część rośliny często opatrzona liśćmi a zatem ulegająca parowaniu, którego kosztów nie ma czem pokryć, bo nieobecne korzenie wody jej nie dostarczają, przeto należy dostarczać wody sadzonkom skrapiając

---

[1]) Wyraz sadzonka zastępuje doskonale z niemieckiego wzięty *sztoper*, jak *odkład* zastępuje niem. *ableger*.

je często a zarazem przykrywając oknami inspektowemi lub szklanemi kloszami i to dopóty, dopóki młode korzenie funkcyjonować nie zaczną.

Grunt w którym chcemy umieścić sadzonki powinien być lekki, przepuszczalny dla wilgoci i powietrza, w przeciwnym bowiem razie sadzonki łatwo gniją. Najodpowiedniejszy do takiego rozmnażania jest czysty piasek rzeczny, gruboziarnisty lub też pomieszany z ziemią z przegniłych liści powstałą. Niektórzy sadzonkują w trociny, tłuczony węgiel drzewny i t. p. Silne światło słoneczne szkodzi w ogóle rozwijaniu się korzeni, dla sadzonek zaś tembardziej jest niepożądane, że towarzyszy mu zwykle podwyższenie znaczne temperatury a więc i parowania. Z tego to powodu cieniuje się sadzonki przez większą część dnia słonecznego.

Do rozmnażania z sadzonek używa się albo gałązek zupełnie wykształconych i z tych mnoży się zwykle w ciągu spoczynku roślin, albo pędów opatrzonych liśćmi, co ma miejsce w ciągu całego lata. Manipulacyja przytem jest następująca:

Tnie się pędy lub gałązki [1]) na kawałki opatrzone kilkoma oczkami, część która ma pójść w ziemię przycina się pod samem oczkiem nie ukośnie lecz prostopadle do gałązki, nożykiem bardzo ostrym. W takim tylko razie rana zalewa się, jak mówią ogrodnicy, a na granicy kory i drewna tam gdzie się znajduje miazga, powstaje poduszeczkowaty pierścień zwany *piętką*. Z piętki po pewnym czasie wychodzą korzenie i wtedy sadzonka poczytuje się za przyjętą; stała się ona nową, samoistną rośliną.

Sadzonkowanie jest najdogodniejszym sposobem rozmnażania. Nie wszystkie wszakże rośliny dają się za pomocą niego rozmnażać. Niektóre wcale korzeni nie tworzą, gniją i giną. Ogrodnicy dopomagają w trudnych razach umieszczając takie rośliny w temperaturze wyższej od tej w której zwykle żyją, bądź to na inspekcie, bądź też na cieplarni zwanej *rozmnażalnią*. Mimo to wszystko pewne rośliny o drzewie bardzo twardem, wcale się rozmnażać nie dają.

Główne sposoby sadzonkowania są:

Z gałązek które zakorzeniają się w ziemi mniej lub więcej łatwo. W ogóle z gałązek rozmnaża się rośliny łatwo wydające korzenie, jak np. porzeczki, wino dzikie i szlachetne, i t. p. Często bardzo gałęzie całe wsadzone w ziemię zakorzeniają się, ma to miejsce u wierzby, topoli i t. p. Jedno z drzew indyjskich *Pterocarpus marsupium*, daje się rozmnażać z całych pniaków na 5 — 6 cali grubych i na kilka łokci długich, o czem świadczy Lindley w Teoryi ogrodnictwa.

Zauważono że łatwiej zakorzeniają się gałązki oderwane gwałtownie od gałęzi czyli z piętą t. j. częścią starszego drzewa, że jednak w takim razie drzewo mocno cierpi, przeto do podobnego rozmnażania używa się egzemplarzy na zniszczenie przeznaczonych.

[1]) *Pęd* jestto rozgałęzienie tegoroczne, *gałązka* zeszłoroczne a więc każdy pęd po opadnięciu liści w jesieni zamienia się w gałązki i tę nazwę nosi do następnej jesieni kiedy staje się *gałęzią*.

Nacinanie sadzonek pod oczkami które w ziemię pójść mają, zrzynanie nad niemi pasków kory, robienie na gałązkach, pókijeszcze są na roślinie macierzystej, nabrzmień za pomocą przewiązywania drutem, bardzo ułatwiają zakorzenianie się sadzonek.

Jeżeli sadzonki robimy w gruncie, należy wybrać do tego położenie ocienione, grunt lekki, wilgotny, ciąć gałązki na 6 — 8 cali długie i zanurzyć je w ziemię tak, żeby jedno lub dwa oczka tylko wyszły nad jej powierzchnię. Często bardzo kawałek gałązki opatrzony jednem tylko oczkiem, może dać początek nowej roślinie, takie jednak sadzonki udają się tylko w ciepłym inspekcie lub w gruncie w ciepłych krajach. W praktyce rozmnażamy w ten sposób winorośl, a zwłaszcza też odmiany z których posiadamy mało gałązek (wieć).

Przechodząc do sadzonek opatrzonych liśćmi w ogóle zauważyć można, że zakorzeniają się one łatwiej w doniczkach lub miskach z niepolewanej gliny, korzenie bowiem dążą do powietrza i wilgoci przesiąkającej przez ściany naczyń i silnie rozwijają się przy tychże ścianach. Za sadzonkę niekoniecznie służyć musi gałązka lub część jej, często liść jeden wystarcza, co nikogo dziwić nie powinno, ze względu na przyrodę liścia, który jest tylko zmienioną gałęzią. Liście zatem niektórych roślin posiadają własność wytworzenia pączków i korzeni, a z tych nowe roślinki powstają. W taki sposób rozmnażają się głównie begonije, których liście ponacinane na nerwach; na płask na piasku położone dolną powierzchnią, wydają po kilkanaście nowych egzemplarzy. Roślina pochodząca z wysp Moluckich zwana *Bryophyllum calycinum*, posiadająca liście karbowane w każdem zagłębieniu pomiędzy karbami, wydaje nową roślinę.

Z zakorzenionemi sadzonkami ostrożnie postępować trzeba, powoli przyzwyczajać je do powietrza, gdy zaś dobrze rosnąć zaczną, przesadzić najprzód w maleńkie doniczki, potem w większe. Przesadzone odrazu w duże doniczki od nadmiaru wilgoci giną.

Sadzonki rozmnażane w gruncie, mogą być wprost w grunt przesadzane bez zachowania powyższych ostrożności.

E. Jankowski.

ŁOWIENIE PEREŁ
na wyspie Cejlon.

Najwięcej muszli perłowych znajduje się w morzach strefy gorącej; z tak zwanych zaś ławin perłowych są największe nad brzegami wyspy Cejlon, leżącej w Oceanie Indyjskim, dalej w morzu Japońskiem i zatoce Perskiej. Połów pereł odbywający się rok rocznie na wyspie angielskiej Cejlon, jest bliżej określony rozporządzeniami rządowemi. Rząd oznacza miejsce w którem połów ma się odbywać; czas, jak długo ma trwać; ogranicza ilość statków, mających być użytych i pod temi warunkami wydzierżawia przez publiczną licytacyją najwięcej dającemu prawo łowienia muszli perłowych. Główny przedsiębierca wypuszcza częściowo nabyte prawo połowu, on sam jednakże za dotrzymanie warunków przepisanych przed rządem jest odpowiedzialny. Wydobyte muszle składają w miejsca palami ogrodzone, a mięczaki muszle te zamieszkujące, pozbawione wody, szybko gnić i rozkładać się zaczynają. Gdy już rozkład ten, połączony z niemiłym i odrażającym zapachem dostatecznie postąpił, skutkiem czego muszle łatwiej otworzyć i perły lżej wydobyć można, zabierają się robotnicy pod najściślejszym dozorem do wyszukiwania pereł. Przy pracy tej niewolno im pod najsurowszą karą zbliżać rąk do ust, a jeżeli przypadkowo pomimo zakazu, który z nich perłę połknie, natychmiast zmuszają go za pomocą środków lekarskich do oddania tego, co sobie bezprawnie przywłaszczył.

Do wydobywania muszel tych, które zazwyczaj na dnie morza do jakiej skały są przyrośnięte i jeżeli w większej ilości są nagromadzone, ławiny tworzą, używają nurków. Nurki, w kosz i nóż opatrzeni, przywięzują sobie do nogi kamień, ażeby się łatwiej na dno morza spuścić mogli, a przewiązawszy się w pas liną, której koniec do statku jest przymocowany, zapuszczają się w głębinę. Nurek za pomocą noża muszle przyrośnięte oddziela a napełniwszy niemi kosz, lub gdy dla braku powietrza dłużej pod wodą wytrzymać nie może uwalnia nogę od przywiązanego do niej kamienia i daje znak przez poruszanie liny, ażeby go z wody wyciągnięto. Pomimo że nurki od pierwszej młodości do rzemiosła swego się wprawiają, pozostawanie jednak pod wodą jest dla nich przykre i uciążliwe, a ze względu na wielką ilość morza te zamieszkujących drapieżnych zwierząt nader niebezpieczne. To też wynagrodzenie ich ze względu na niebezpieczeństwa, na które są wystawieni, jest znaczne, otrzymują bowiem czwartą część wydobytych muszel perłowych. Każdy nurek łowi takowych 1,000 do 4,000 w przecięciu dziennie. Ilość znalezionych pereł nie da się tak łatwo obliczyć, albowiem w niejednej muszli znajdują 30—40 pereł, gdy tymczasem w stu innych ledwie będzie jedna. Połów pereł nad brzegami wyspy Cejlon przynosi rządowi angielskiemu rocznie około 50,000 funt. szterlingów, w niektórych zaś latach przeszło 100,000 funtów (przeszło 700,000 talarów). Dzisiaj dostarczają najwięcej pereł zachodnie wybrzeża północnej i południowej Ameryki.

W niektórych rzeczkach Europy trudnią się także łowieniem muszli perłowych rzecznych. Zasługuje tu na wzmiankę Elstera, w rzece tej już od kilkuset lat łowieniem pereł się trudnią, połów ten jednakże na małą odbywa się skalę i więcej straty jak korzyści przynosi, koszta bowiem połowu na 400 talarów obliczono, gdy tymczasem znalezione perły zaledwo 100 talarów są warte.

Perły nietylko w muszlach perłowych, ale także w wielu innych rodzajach muszli chociaż rzadko napotykamy. Jakkolwiek wielu gastronomów na honor się klną, że dotąd ani jednej perły nie znaleźli, pomimo że na jednem posiedzeniu po 3—5 tuzinów ostryg zjadają, możemy jednak ich zapewnić, że perły i w tych małżach chociaż bardzo rzadko się pojawiają. Nie myślimy przeto panów tych zachęcać do poszukiwań naukowych w celu

wykrycia, na ile ostryg zjedzonych jedna perła przypadnie, gdyż ze zbyt wielkiego zapału do badań przyrodniczych gotowiby majątek stracić, zanimby jedną perłę odkryli; nie każdemu bowiem uda się podobnie, jak owemu Hamburczykowi, znaleść w ostrydze perłę, za którą mu 22 talary zapłacono.

Ponieważ perły do kosztowniejszych należą przedmiotów, od dawna też już starają się takowe naśladować. Wyrabiają zaś je już to z zębów tak zwanej dziewicy morskiej (Halicore cetacea), zwierzęcia ssącego dwupletwowego, zamieszkującego morze Czerwone, już też z alabastru lub szkła. Perły szklane są z nich najważniejsze a główne fabryki znajdują się w Paryżu, Wenecyi i Wiedniu.

ŚLADY ŻYCIA.

XLV.

Z pomiędzy licznych koncertów, jakie w obecnej porze mają miejsce w Warszawie, koncert na korzyść niezamożnej młodzieży uniwersyteckiej, na szczególne zasługuje poparcie. Ma się on odbyć w ciągu jeszcze bieżącego miesiąca a urządzeniem zajmuje się p. Quatrini dyrektor opery.

* * *

Wspominając o otwarciu szkoły techniczej przy warsztatach mechanicznych drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, przyrzekliśmy dać o niej następnie więcej szczegółową wiadomość. Jako spełnienie tej obietnicy donosimy obecnie, że wzmiankowana szkoła, udzielać ma niezbędne wykształcenie *kandydatom do pełnienia drugorzędnych obowiązków przy drogach żelaznych* a zatem uczęszczać do niej będą: 1° rzemieślnicy i robotnicy pracujący przy warsztatach mechanicznych rzeczonych dróg żelaznych; 2° dzieci osób zostających w służbie tychże dróg i 3° osoby obce.

Szkoła dzieli się na dwa oddziały a mianowicie na *przygotowawczy* o dwu klasach i *specyjalny* o trzech klasach.

W oddziale przygotowawczym wykładane będą: *nauka religii, język rossyjski* t.j. nauka czytania, pisania, tłómaczenia, ćwiczenia pamięciowe oraz początki gramatyki, *język polski* w podobnym co rosyjski zakresie, *z arytmetyki* cztery działania z liczbami całkowitemi, rachunki pamięciowe a nadto rysunek linarny.

W oddziale specyjalnym: język *rosyjski, geografija* i *historyja rosyjska, z arytmetyki* liczby wielorakie, ułamki dziesiętne, proporcyje, o miarach i wagach, początki *geometryi, fizyki* i *mechaniki* stosowanej do rzemiósł, *nauka o rzemiosłach*; początkowe wiadomości *o budowie i eksploatacyi* dróg żelaznych pod względem technicznym i administracyjnym, nadto rysunki ręczne i linearne.

Wykład wszystkich przedmiotów w ciągu pierwszych lat trzech, odbywać się będzie w języku polskim, następnie w języku rosyjskim. W godzinach wolnych od wykładów, uczniowie kształcić się będą w stolarstwie, ślusarstwie i innych rzemiosłach, tudzież w jeździe i obsłudze parochodów a na linii drogi żelaznej po stacyjach i przy telegrafie, we właściwych czynnościach praktycznych. W miarę środków założy się przy szkole odpowiednią nauce biblijotekę i muzeum modeli, przyrządów, planów i t. p.

Z końcem każdego roku szkolnego uczniowie powołani będą do egzaminu. Uczeń posiadający świadectwo ukończonego dostatecznie kursu, po odbyciu dwuletniej praktyki przy jednej z kolei żelaznych otrzymuje patent. W każdej klasie znajdować się może najwięcej 40 uczniów. Pierwszeństwo w przyjęciu pozostawia się osobom zostającym w służbie dróg żelaznych warszawsko-wiedeńskiej i bydgoskiej. Wiek dla wstępujących do oddziału 1-go nie określa się: wszakże do pierwszej klassy oddziału 2-go, przyjmowani będą mający przynajmniej 13 lat skończonych.

Opłata roczna za naukę wynosi: od uczniów w oddziale 1 rs. 6 w oddziale 2 rs. 12. Rada szkolna mocna jest uczniowi zmniejszyć opłatę lub od takowej w zupełności go uwolnić. Jeżeli z rodzeństwa dwóch lub więcej uczniów do szkoły uczęszcza, wtedy opłata od każdego pobierana będzie w połowie. Opłata wnosi się jednorazowo lub miesięcznie z góry. W razie choroby, uczniowie korzystają z bezpłatnej pomocy lekarza dróg żelaznych.

Zakres nauk, stosownie do rozwoju szkoły i za zezwoleniem ministeryjum dróg i komunikacyj, może być rozszerzony.

* * *

I znowu śmierć zabrała jednego z pracowników na naszej literackiej niwie. W dniu trzecim b. m. i r. zmarł nagle we wsi Chałaimgrodku w pobliżu Berdyczowa, wysoko ceniony poeta i prozaik ś. p. *Aleksander Groza* w wieku lat 68. wychowaniec Wileńskiej wszechnicy, ś. p. Groza zawód literacki rozpoczął w r. 1835, ogłaszając utwory swoje bądź osobno, bądź w zbiorowych edycyjach z których ostatnia kompletna ukazała się w Żytomierzu w 1860 roku. Do najcelniejszych poetycznych utworów zmarłego należy poemat „Starosta Kaniowski.“ W prozie Groza odznaczył się też najzacniejszemi dążnościami. Oprócz pism zbiorowych: „Rusałka“ 1838—42) i „Grosz wdowi“ wr. 1849—1850, wydał nadto między innemi Elementarze, mniejszy i większy i oddzielnie Elementaryzk (Żytomierz, 1860);— „Hryć,“ dramat ukraiński w 5-ciu aktach; „Mozajka kontraktowa;“ „Obrazki ukraińskie;“ „Ołtarzyk berdyczowski;“ powieść „Trzy palmy.“ Pamiętnik niebardzo stary; Powieści ludu i dumy, „Starosta Kaniowski;“ powieść Smieciński, Władysław, wyciąg z pamiętników, 2 tomy. Twardowski, misteryjum z podań w dwóch częściach“ (Brody, 1873) było ostatniem dziełem własnem zmarłego. Cześć zacnej jego pamięci.

* * *

Kiedy o zmarłych mowa, należy nam również uczcić pamięć znanego powszechnie i szanowanego artysty malarza Wojciecha Kornelego Stattlera, który w dniu 6 b. m. dokonał pożytecznego żywota w Warszawie. Ś. p. Stattler do roku 1856 był profesorem malarstwa w uniwersytecie Jagielońskim i w szkole sztuk pięknych w Krakowie, a od roku 1862 stale jako emeryt w mieście naszem przemieszkiwał. Malarstwo religijne było głównym jego rodzajem, a szedł w niem za wzorami mistrzów włoskich, na których przez lat kilka kształcił się był w Rzymie. Oprócz obrazów Najświętszej Panny; Chrystusa, Świętej Rodziny, do większych prac zmarłego należą Abel i Kain, Mojżesz na Synaju. Ś. p. Stattler pisał też dosyć o sztuce i o szkołach malarstwa.

* * *

Aby przyjść w pomoc młodzieży przygotowującej się do zawodu handlowego, zwierzchność szkoły handlowej prywutnej w Warszawie, ogłasza konkurs na napisanie w języku polskim, dzieła obejmującego wszelkie formy i wzory korespondencyj handlowych, zacząwszy od najprostszych zawiadomień aż do cyrkularzy i poleceń w złożonych interesach handlowych, bankierskich i towarowych. Jako wzór podobnej pracy przytoczyć można dzieła Schiebego, Porgesa, Keila i t. p.

Termin ostateczny nadsełania rękopismów naznacza się na 1-go maja 1876 roku. Rękopisma obejmujące od 20—25 arkuszy druku, składane być mają pod adresem szkoły handlowej prywatnej w Warszawie, ulica Nowy Świat Nr. 49, lub na ręce dyrektora szkoły p. Stanisława Przystańskiego.

Zgodnie z przyjętemi zasadami konkursów, rękopismy winny być opatrzone takąż samą dewizą, jaka znajdować się będzie na kopercie obejmującej imie, nazwisko i miejsce zamieszkania autora. Autorowi dzieła uznanego przez zaproszonych do tego specyjalistów za najodpowiedniejsze, wypłaconą będzie niezwłocznie kwota rs. 300, a dzieło kosztem szkoły wydrukowanem zostanie. W czasie druku dla uniknienia omyłek, korrekta należeć będzie do autora. Po wydaniu uwieńczonej pracy, szkoła handlowa prywatna zatrzyma na swą korzyść 900 egzemplarzy, po sprzedaniu których pozostałe 600 egzemplarzy z całego nakładu, jakoteż prawo do następnych wydań, stanowić będą własność autora nagrodzonej pracy.

* * *

Liczbę pism prowincyjonalnych zwiększy jeszcze od przyszłego Nowego Roku, *Korespondent Płocki.*

* * *

Od jednego z nauczycieli prywatnych otrzymaliśmy list następujący:

Szanowny Redaktorze!

Warszawa liczy kilkanaście mniej lub więcej *renomowanych* ognisk, gdzie się schodzą pracodawcy i pracujący w zawodzie nauczycielstwa, czyli inaczej mówiąc posiada kilkanaście kantorów stręczeń nauczycieli, nauczycielek, guwernerów, bon i guwernantek. Kantory te pobierają zwykle grube procenta tak od strony dającej jak i przyjmującej pracę; ani zaś jednej ani drugiej stronie nie dają najmniejszej rękojmi, przeciwnie narażają rodziców zwłaszcza i opiekunów, na ciężkie nieraz zawody i straty. Nie będę przytaczać zawodów zanadto dobrze znanych każdemu kto przez kantory o jakich mowa poszukiwał osób do pomocy w wychowaniu dzieci, chcę tylko uczynić wzmiankę o nowym *sposobie* pośrednictwa, używanym przez niektóre podobne zakłady. Sposób ten polega na wywiadywaniu się ubocznemi drogami, o osobach poszukujących nauczycielek lub nauczycieli i posyłaniu tam ostatnich na chybił trafił, bez ich ma się rozumieć o tem wiedzy, celem otrzymania następnie, jeżeli sztuczka się uda, wy-

nagrodzenia. Kroki tak hazardowne (nawiasem mówiąc doświadczyłem tego na sobie) narażają interesowane osoby na nowe nieprzyjemności i kompromitacyje, liczna tymczasem rzesza poszukujących pracy nauczycielskiej potrzebuje gwałtownie uczciwych środków pośrednictwa. W skutek tego ośmielam się prosić szanownego pana o rzucenie w swem piśmie myśli, iż pożądaną byłoby rzeczą, aby biuro dla szukających pracy p. Kosuta, otworzyło u siebie oddział pedagogiczny.

Obecne kantory stręczeń niech pozostaną targowiskiem dla zagranicznego towaru, bo ta funkcyja zresztą najbardziej jest dla nich ponętną i popłatną.

* * *

— A gdzie to kuma idzie?

— Lecę po cukier do *Merkurowej*.

— Zamknięto, przecież to niedziela!

— A, prawda, trza iść do Szmulowej.

Za komentarz do tego urywku rozmowy podsłuchanej mimochodem, posłużył mi poblizki szyld sklepu spożywczego stowarzyszenia, w którym jak mi wiadomo sprzedażą zajmuje się kobieta.

Takie to są pojęcia ludu warszawskiego, a nawet i oświeceńszych warstw ludności naszej o tej instytucyi tak pożytecznej, a tak niedołężnie rozwijającej się. Prassa temi czasy uczuła się w obowiązku, wylać nad nią potok ogólników i rad, podobnych do owych konsultacyj jakich nieszczędzą życzliwi znajomi dla niedomagającego przyjaciela. Rady, narzekania i wymówki sypią się przy każdem ogłoszeniu sprawozdania z czynności „Merkurego,“ mimo to jednak instytucyja zamiast rozwijać się, mdleje.

Nie łudźmy się, inaczej stać nie może to, co przeszczepione zostało na grunt nieusposobiony, co niewyrosło z gruntu potrzeb miejscowych i nie fukcyjonuje w właściwym kierunku.

Naszem zdaniem „Merkury“ nie rozwinie się nigdy według miary Rochdalskiego pomysłu, dopóki będzie niepopularną instytucyją, sztucznem płodem dobrych chęci założycieli.

Rzemieślnicy i robotnicy nasi widzą w „Merkurym“ prosty sklep *nie żydowski* więc niesympatyczny, i nic więcej; pierwszy lepszy *sklepik* ma nad nim przewagę, bo tam znajdzie się wszystko czego potrzeba dla robotnika, bo tam jest kredyt....

Nie kusząc się o dawanie rady stowarzyszeniu, pragniemy, aby jego cel i środki jawne stały się dla jak najszerszego ogółu, pragniemy aby w zbliżającej się porze odczytów rzemieślniczych, podniesiono tę kwestyję w sposób jak najprzystępniejszy i jak najbardziej przekonywający.

* * *

Czytelnicy przypomną sobie może, jak przy końcu 1873 roku pierwsi podnieśliśmy w szpaltach „Opiekuna“ niezmiernie ważną kwestyję „bliższego zapoznania się z krajem.“ Wykazaliśmy tam pokrótce niedostateczność a nawet bezowocność tych wiadomości, jakich nabrać możemy z naszych podręczników jeograficznych i usiłowaliśmy przekonać wszystkich spółobywateli o nieodwołalnej potrzebie dokładnego opisu pod względem jego bogactw i środków zużytkowania ich. Obecnie w N. 249 „Gazety Polskiej“ spotykamy tę samą myśl kilku rozumowaniami i kilku cyframi popartą. Ciesząc się, że po *dwu latach* przynajmniej głos nasz znalazł *echo* piśmienne, przyklaskujemy mu z głębi serca i życzymy zarazem, ażeby je ominął los do naszego podobny. Chcąc zaś dopomódz przypadkowi który jak się zdaje, wszystkim u nas rządzi, i rozszerzyć wiadomość o tem echu spóźnionem przytaczamy z niego ustęp, który za najważniejszy uważamy. „Jedyna racyjonalna metoda, czytamy tu, pisania ekonomicznych recept polega na trzech operacyjach. Należy naprzód dokładnie przedstawić to, co jest złem u nas lub czego nam brakuje, należy powtóre wskazać, jakim sposobem inne, a szczególniej też bardziej do nas podobne społeczeństwa, złe to usuwają lub usunęły; a wreszcie wytłómaczyć na jakich drogach środki wypróbowane gdzieindziej zastosować się dadzą u nas. Widocznie, że owa trzecia operacyja wesprzeć się musi na dwu pierwszych, a przedewszystkiem na *znajomości kraju własnego*; u nas jednak, niestety, wyskakuje zwykle samodzielnie, jak Minerwa z głowy Jowiszowej.“ Niezależnie od tego natychmiastowego poparcia, postaramy się raz jeszcze przemówić do społeczeństwa, ażeby samo siebie poznało; a tymczasem zwracamy się do zarządu „szkoły handlowej“ warszawskiej, ażeby drogą konkursu zechciał powołać do życia *statystyczny opis kraju* z którego i dla własnej instytucyi niezmiernie skorzystaćby mógł. A jakżeby wielką, jak drogocenną oddałby przysługę wszystkim kraju naszego obywatelom, którzy bez takiego przewodnika zawsze poomacku tylko błądzić będą musieli.

FANTAZYJA D^ra OX

przez

Julijusza Verne.

(ciąg dalszy)

V.

W którym mówi się naprzód o wizycie jaką burmistrz i radny idą złożyć doktorowi Ox a następnie o tem co po tej wizycie nastąpiło.

Radny Niklausse i burmistrz van Tricasse poznali nakoniec co to jest przebyć noc niespokojnie. Ważne wypadki jakie zaszły w domu doktora Ox naraziły ich na bezsenność. Jakie ztąd wynikną następstwa, tego nie byli w stanie przewidzieć. Czy należało co zadecydować w tem przedmiocie? Czy władza municypalna przedstawiana przez nich potrzebowała wdać się w tę sprawę? Czy nie nakazać aresztowania, aby podobny skandal nie powtórzył się więcej?

Te oto wątpliwości zaprzątały poważne głowy przodowników miasta. Tak więc jak to dawniej było w zwyczaju, dwie znakomitości przed rozejściem się postanowiły widzieć się z sobą dnia następnego.

Nazajutrz zatem przed obiadem burmistrz van Tricasse we własnej swojej osobie udał się do radnego Niklaussa, ale zastał go znacznie już spokojniejszym, zaczął więc pierwszy rozmowę o tym drażliwym przedmiocie.

— A co, nic nowego... zapytał.

— Nic jak dotąd, odpowiedział mu Niklausse.

— A doktor Dominik Custos!

— Nie słyszałem nic o nim, tylko pletą coś o adwokacie Andrzeju Schucie.

Po dwugodzinnej rozmowie, którą możnaby w dwu wierszach określić ale której powtarzać nie warto, pan radny z panem burmistrzem postanowili odwiedzić doktora Oxa i tam nieznacznie chwytnąć jakiego języka. Wbrew zwyczajowi znakomitości uznały za właściwe wykonać niezwłocznie to postanowienie, wyruszyli więc i udali się w stronę fabryki gazu doktora Ox, położonej za miastem, w niewielkiej odległości od owej bramy Audenardu, której wieża zawaleniem groziła.

Burmistrz i radny nie prowadzili się pod rękę ale postępowali *passibus aequis* krokiem powolnym i uroczystym, robiąc zaledwie trzynaście cali na sekundę. Nie było w tem nic dziwnego, był to bowiem zwykły chód mieszkańców Quiquendoncu.

Od czasu do czasu przy zbiegu ulic lub na spokojnym rogu której z nich, dwaj dygnitarze zatrzymywali się na chwilę, aby się odkłonić przechodniom.

— Dzień dobry panie burmistrzu, odzywał się ktoś.

— Dzień dobry, przyjacielu, odpowiadał mu na to van Tricasse.

— Czy nie ma tam co nowego panie radny, zapytał drugi.

— Nic Bogu dzięki, odpowiadał pan Niklausse.

Atoli po zdziwionych jakichś minach, po niespokojnych spojrzeniach pytających można się było domyślić, że o niefortunnem zajściu dobrze już w mieście wiedziano. Z kierunku zresztą drogi w jakim pan van Tricasse postępował najtępszy nawet z mieszkańców Quiquendoncu przeczuwał że dostojny zwierzchnik miasta szedł spełnić jakąś ważną powinność. Zajście Custosa i Schuta zaprzątało wszystkie umysły, dotąd jednak nie potworzyły się jeszcze stronnictwa na korzyść jednego lub drugiego. Adwokat i doktor były to osobistości zarówno szanowane w mieście. Adwokat nie miał wprawdzie jeszcze sposobności stawania przed kratkami, bo w Quiquendonc strony skarżące i skarżone w tradycyi tylko istniały; ale za to nigdy też sprawy nie przegrał. Doktor był to znowu praktyk czcigodny, który za przykładem współkolegów swoich leczył pacyjentów ze wszystkich chorób, wyjąwszy jednę na którą się umiera. Wadliwy to może obyczaj, ale co robić skoro przyjęty przez fakultety medyczne wszystkich bez wyjątku krajów.

Przybywszy do bramy Audenardu radny i burmistrz zboczyli nieco na prawo nie chcąc zanadto zaufać wieży, a następnie popatrzyli na nią uważnie.

— Runie, rzekł van Tricasse.

— Runie, odpowiedział Niklausse.

— Żeby ją jeszcze podstęplować, dodał van Tricasse, ale w tem sęk czyż ją stęplować wypada?

— Właśnie że sęk, odpowiedział Niklausse poważnie.

W kilka potem minut, deputaci przybyli pode drzwi fabryki gazowej.

— Czy się można z doktorem Ox zobaczyć, zapytali jakiegoś członka czeladzi.

— Doktor Ox zawsze jest na usługi dla tak dostojnych gości, odpowiedziano im na to i poprowadzono do gabinetu sławnego fizyjologa. Wyczekawszy się z dobrą godzinę zobaczyli nareszcie doktora a zjawił się w samą porę, pan van Tricasse bowiem, co mu się nigdy dotąd w życiu nieprzytrafiło, okazał pewien rodzaj zniecierpliwienia.

Doktor Ox tłómaczył się przedewszystkiem że przetrzymał panów niegrzecznie, ale musiał pozamykać gazometry i poprawić niektóre niecierpiące zwłoki niedokładności.... Następnie dodał że rura przeznaczona do odpływu tlenu jest już założoną, zaczem w ciągu kilku najdalej miesięcy otrzyma miasto najdoskonalsze oświetlenie. Dwaj dygnitarze miasta mogli już nawet obejrzeć zresztą otwory rur które napełniały się w gabinecie doktora.

— Jakiemu, rzekł potem wszystkiem doktor, jakiemuż szczęśliwemu zdarzeniu przypisać mam zaszczyt przyjmowania dziś w domu swoim, tak wysokich gości?..

— Ot tak poprostu chcieliśmy odwiedzić kochanego doktora, odpowiedział van Tricasse; bo dawno już przecie nie mieliśmy tej przyjemności. Wychodzimy zazwyczaj bardzo mało, bo nielubimy naprzykrzać się nikomu, i prawdziwie jesteśmy szczęśliwi gdy żaden wypadek nie przerwie nam zatrudnień naszych.

Niklausse spojrzał przenikliwie na przyjaciela, nigdy bo nie miał on zwyczaju rozprawiać tak długo i to bez najmniejszego przestanku. Zdawało mu się, że van Tricasse wyraża się z pewną szybkością wcale mu niewłaściwą, i sam poczuł niepowstrzymaną chęć wmieszania się do rozmowy.

Co do doktora Ox, ten patrzył ciągle na burmistrza swoim złośliwym bazyliszkowatym wzrokiem.

Van Tricasse, który się nigdy nie odezwał dopóki się nie usadowił wygodnie w fotelu, stojący mówił tym razem. Skąd się do licha wzięła w nim taka werwa wręcz przeciwna jego temperamentowi?.. Dotąd nie gestykulował jeszcze, ale i do tego niewiele już brakowało. Radny zacierał dłonie i oddychał gwałtownie. Jego spojrzenie ożywiało się też powoli i myślał nawet poprzeć już burmistrza jeżeli okaże się tego potrzeba.

Van Tricasse postąpił o parę kroków a następnie cofnął się i zasiadł naprzeciwko doktora.

— Więc w jakim ostatecznie czasie, zapytał głosem dobitnym, za ile naprzykład miesięcy jesteś pan w stanie ukończyć te swoje prace?

— Za trzy lub najdalej za cztery miesiące panie burmistrzu, odpowiedział doktor Ox na to.

— Za trzy lub cztery miesiące, to trochę za długo, odpowiedział van Tricasse.

— Tak, tak, to zadługo, zawtórował Niklausse i podniósł się także.

— Z tem wszystkiem potrzeba nam tyle czasu dla ukończenia robót, odpowiedział doktor. Robotnicy tutejsi wcale nie są wprawni..

— Jakto nie wprawni! zawołał burmistrz biorący jak się zdawało słowa te za jakiś docinek dla siebie.

— Wierz mi pan panie burmistrzu, powtórzył doktor Ox, robotnik francuski zrobi w jednym dniu więcej jak tutejszych dziesięciu; wszakże pan wiesz że to czystej krwi Flamandowie!

— Więc cóż że Flamandowie! wrzasnął radny Niklausse. W jakim pan to znaczeniu mówisz.

— W znaczeniu znanem dobrze całemu światu, odparł śmiejąc się doktor.

—Co do mnie łaskawy panie, mówił sapiąc burmistrz, proszę wiedzieć że nie lubię przymówek ani docinków. Robotnicy z Quiquendonc, chciej pan wiedzieć o tem tyle są warci, co jacykolwiek inni i nie myślę dla czyjejś tam fanaberyi sprowadzać im na model wzorów z Paryża lub Londynu! Co zaś do robót o jakich mowa, proszę pośpieszyć z niemi. Bruk na ulicach wyłamano dla założenia rur gazowych a to szkodzi komunikacyi. Handlujący skarżą się bardzo a ja jako administrator i za wszystko odpowiedzialny, nie potrafię się usprawiedliwić z zarzutów najsłuszniej czynionych.

— Wybornie panie burmistrzu powiedziałeś o handlu i komunikacyi, dodał Niklausse, aleć i to prawda że miasto nie może pozostać dłużej bez należytego oświetlenia.

— Miasto, dorzucił doktor, które na to oczekuje już 800 czy 900 lat bodaj.

— Tem spieszniej go więc potrzebuje, odrzekł burmistrz, kładąc nacisk na każdą sylabę. Inne dziś czasy i inne obyczaje! Postęp tego wymaga a my wcale nie mamy ochoty pozostać w tyle! W ciągu jednego miesiąca ulice muszą być oświetlone, inaczej zapłacisz pan karę za każdy dzień spóźnienia! A co będzie jeśli korzystając z ciemności zrobi kto jaką awanturę.

—Bez wątpienia, zawołał Niklausse, iskierki tylko potrzeba aby wzburzyć Flamanda. Flamandowie to ogień!

— Ale, ale, rzekł burmistrz przerywając przyjacielowi, naczelnik policyi municypalnej komisarz Passauf doniósł nam, iż jakaś dyskusyja miała wczoraj wieczorem miejsce w pańskim salonie. Czy prawda że to była jakaś kwestyja polityczna?

— W istocie panie burmistrzu, odrzekł doktor Ox, który nie taił już objawów swego zadowolenia.

— A czy zaszła jaka sprzeczka pomiędzy doktorem Dominikiem Custos i adwokatem Andrzejem Schut...

— Tak jest panie burmistrzu, przymówki wszakże jakie były, były bez znaczenia.

— Bez znaczenia, zawołał burmistrz, więc to jest bez znaczenia, gdy się powie komu drugiemu, że nie umie miarkować swych wyrażeń! Czyż pan nie wiesz że w mieście Quiquendonc wcale nie wiele potrzeba aby katastrofę sprowadzić? Cóżby się stało mój panie, gdybyś pan albo kto inny pozwalał sobie odzywać się do mnie w ten sposób?..

— Albo do mnie!... dodał radny Niklausse w tej chwili. Wymawiając te słowa tonem groźby dwaj dygnitarze z zaciśniętemi pięściami i najeżonemi czuprynami posunęli się naprzeciw doktora Ox, gotowi mu wyrządzić impertynencyją gdyby gestem albo nawet samem spojrzeniem tylko ośmielił się im zaprzeczyć.

Ale doktor okiem nawet nie mrugnął...

— W każdym razie, dodał burmistrz, jesteś pan odpowiedzialnym za wszystko co się dzieje w pańskim domu. Powierzono mi czuwać nad spokojnością tego miasta, nie życzę więc sobie aby była zakłócaną. Jeśli wypadki które miały miejsce powtórzą się raz jeszcze, spełnię moję powinność. Czy pan mnie zrozumiałeś? proszę mi na to odpowiedzieć mój panie!

Rozgniewany van Tricasse krzyczał że go zapewne na ulicy słychać było, a podrażniony że doktor nie odpowiada na jego pytania:

— Chodź panie Niklausse, zawołał zamykając drzwi z taką gwałtownością że zatrząsł całym budynkiem, i pociągnął za sobą radnego.

Uszedłszy około dwudziestu kroków dygnitarze uspokoili się. Chód ich zwolniał, zapał ostygł, rumieniec z twarzy zniknął, z czerwonych stali się bledzi.

W kwadrans zaś po opuszczeniu fabryki gazu, van Tricasse odezwał się do radnego Niklausse.

— Ten doktor Ox to bardzo miły człowiek, co do mnie widzę go zawsze z prawdziwą przyjemnością.

VI.

W którym Franciszek Niklausse i Suzel Tricasse tworzą projekta przyszłości.

Czytelnicy wiedzą już że pan burmistrz miał córkę pannę Suzel, ale najdomyślniejszy z nich nie odgadł, że radny Niklausse miał syna Franciszka. Choćby zresztą trafił się ktoś tak sprytny, to nic go dotąd nie upoważniło do przypuszczeń, iż pan Franciszek jest narzeczonym panny Suzel. Młodzi ci ludzie byli jakby dla siebie stworzeni i kochali się tak jak się kochają w Quiquendonc.

Stąd wszakże wnosić nie można, iżby młode serca nie biły gorąco w tej osobliwej miejscowości. Nie, tak źle znowu nie jest. Żenią się tu jak we wszystkich innych miastach całego świata, ale biorą się do tego pomału i uważnie. Przyszli małżonkowie studyjują się tu przedewszystkiem wzajemnie przez lat przynajmniej dziesięć.

Dziesięć lat czyż to tak wiele, gdy idzie o ważną sprawę, o połączenie się na całe życie? Uczyć się potrzeba lat dziesięć aby zostać inżenierem, doktorem, adwokatem albo radcą prefektury, a czyż dla nabycia wiadomości na męża nie potrzeba się wielu bardzo rzeczy nauczyć? Mieszkańcy Quiquendonc'u mają zatem słuszność iż się badają tak długo i gdy słyszą jak gdzieindziej sprawy matrymonijalne układają się w ciągu kilku miesięcy, mówią o tem z politowaniem wzruszając ramionami. Był wypadek iż przed piędziesięciu laty trafiło się w Quiquendonc małżeństwo po dwóch latach znajomości zawarte, ale też złe z tego pośpiechu wynikněły następstwa.

Franciszek Niklausse kochał Suzel van Tricasse wiedząc iż ma jeszcze dziesięć lat na to, aby posiąść przedmiot ukochany. Raz na tydzień o jednej i tej samej godzinie odwiedzają Suzel szli razem na przechadzkę nad rzekę Vaar, on z wędką na ryby ona z kanwą do haftu na której pięknemi paluszkami prześliczne wyrabiała rzeczy.

Potrzeba tu nadmienić iż Franciszek miał

lat 22, ładne oczy, ładne wąsiki i głos sympatyczny.

Suzel była blondynką, lat 17 i pasyjami lubiła się patrzeć na łowienie ryb na wędkę. Nie osobliwa to zabawka ale lubił ją młody Niklausse, bo się z jego usposobieniem zgadzała. Cierpliwy jak wół patrzył wzrokiem nieco rozmarzonym na *wabik*, pływający na powierzchni wody, a gdy po dziesięciogodzinnem wyczekiwaniu wyciągnął małę płotczynę był już zadowolonym zupełnie.

Dnia o którym mowa przyszli małżonkowie, właściwiej zaś państwo narzeczeni, siedząc na brzegu zabawiali się jak zwykle. Suzel haftowała, Franciszek zarzucał wędkę to na prawo to na lewo a płotki krążyły w wodzie wymijając haczyk starannie.

— Zdaje mi się że „bierze.“ odzywał się niekiedy Franciszek do młodej dziewczyny, nie patrząc na nią jednak wcale.

— Czyż tak? odpowiadała Suzel zaprzestając na chwilę haftu i wlepiając spojrzenie w wędkę narzeczonego.

— Na nic się zdało, mówił następnie Franciszek, omyliłem się widocznie.

— No, no, to teraz bierze na pewno, mówiła Suzel swoim czystym i miłym głosikiem, tylko uważaj i wytrzymaj jak się należy. Zawsze się pośpieszysz o kilka sekund i sam zawsze wszystko popsujesz.

— To może mię wyręczysz Suzel, daj mi więc kanwę sprobuję czy się umiem sprawiać przy igle.

I młoda dziewczyna brała wędkę drżącą ręką a młody chłopak zaczynał przesuwać igłę po maleńkich oczkach kanwy. I tak otóż całemi godzinami gruchali sobie szczęśliwi a serca ich uderzały silniej, jak tylko spławik wędki poruszył się silniej na wodzie.

Słońce miało się ku zachodowi, ale pomimo połączonych usiłowań panny Suzel i pana Franciszka ani jednej płotki wziąć się nie dało.

— Będziemy szczęśliwsi innym razem, pocieszała Suzel, gdy młody rybak zwijał przyrząd rybacki.

— Nie trzeba nigdy tracić nadziei, odpowiadał na to Franciszek, i zabierali się do powrotu w najgłębszem milczeniu.

Skoro stanęli na progu domu burmistrza, Franciszek rzekł do narzeczonej:

— Ale to Suzel zbliża się nasz dzień uroczysty.

— A wiem o tem Franciszku, odpowiedziała panna Triccasse i spuściła oczki na dół.

— To już za sześć lat niespełna......

— Do widzenia, przerwała zakłopotana Suzel, i gdy drzwi za sobą zamknęła, syn radnego krokiem równym i spokojnym wracał pod dach ojcowski. c. d. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Kilka idei. Tragikomedyja z dawnej przeszłości, pióra F. M. Eysymonta. Nakładem autora. Kraków. 1875. str. 75.

P. Eysymont stara się w przedmowie uprzedzić nieubłaganych krytyków i usprawiedliwić w oczach czytelników błędy swego utworu, które już sam, jak się zdaje, dostrzegać zaczął. Święta to zaiste była chwila i warto było posłuchać jej natchnień. P. E. postąpił inaczej i zbłądził. Zdawało mu się, że w swojej tragikomedyi przeprowadzi *walkę idei* a roztoczył przed czytelnikami szereg obrazków z *niedawnej* prawdopodobnie historyi, która w niczem ich zainteresować nie zdoła. Mój Boże! w przedmowie poeta taki wzniosły, taki poświęcony dla idei; a w samym utworze... jakżeby tu powiedzieć?... taki namiętny obrońca miłości własnej... Zamiast napisać „walkę idei“ przedstawił walkę dwu osobistości (siebie i kogoś drugiego) *a propos* jakiegoś wydawnictwa, o którem historyja literatury może i nie wspomni. Niebezpiecznie to drapować się w togę Katona, kiedy w sercu wrą mrówcze uczucia i namiętnostki! Anibyśmy nie wiedzieli o tej słabej stronie duszy poetyckiej, gdyby nie „Walka idei“ poświęcona znakomitościom i drobiazgowi ukraińskiemu. Gdyby nie ta walka, ten i ów ceniłby w panu E. autora „Odgłosów z Polesia,“ „Poezyi w życiu;“ ale do tej oceny nie przymieszałby się ten kwas zawiści, rozlanej w tragikomedyi względem Maryi Szeligi, Ordona, różnych korespondentów, poetów i niepoetów. Może w skargach p. E. jest i racyja, może istotnie został ukrzywdzony; ale niepodobna nagrodzić krzywdy elukubracyją, w której tyle tylko poezyi, ile miłości w procesowiczu. Złą drogę obrał poeta do nieśmiertelności, pamflet poetyczny udaje się (i to czasami tylko) genijuszom jedynie. Miałżeby autor pretensyją?

Ale dosyć o tej „Walce idei.“ Nie wspominalibyśmy nawet o niej, gdyby się nie ukazywała w zwodniczej szacie, w owczej skórze. Tak jak jest, przedstawia się nader smutnie, będąc objawem zwichniętego poglądu na poezyją i na literacką przyzwoitość. „Walka idei“ illustrowana w imiona Pługa, Dołęgi Benedykta, Aleksandra Grozy i t. d. może nieświadomego rzeczy czytelnika w błąd wprowadzić, nasuwając mu myśl, że to sprawa piękna, święta. Nie łudźcie się, czytelnicy, to zwyczajny, powszedni grzech poetyczny, którego łatwo było nie popełnić.... *P. Ch.*

Aleksander Tyszyński: Wizerunki Polskie. Zbiór szkiców literackich. Warszawa, 1875 str. 302.

Znany zaszczytnie z prac swoich krytycznych p. Tyszyński zebrał w jednę wiązankę kilka szkiców z historyi literatury polskiej, które dawniej jako osobne artykuły w paru naszych czasopismach ogłaszał. Znajdujemy tu następne wizerunki: 1) Wincenty Kadłubek jako pisarz; 2) Marcin Bielski, najdawniejszy prozaik polski; 3) Wizerunek, poemat z roku 1558 Mikołaja Reja; 4) Symonowicz i jego sielanki; 5) Szymon Starowolski; 6) Elżbieta Drużbacka; 7) Komedyja polska w XVIII wieku; 8) Ludwik Kondratowicz i jego poezyje i 9) Wincenty Pol. O artykule „Ludwik Kondratowicz i jego poezyje“ pisaliśmy już wówczas, kiedy się w „Biblijotece Warszawskiej“ pojawił; o innych to w ogólności powiedzieć można, że się odznaczają sumiennem i prawdziwie naukowem opracowaniem.

Głównym w nich brakiem jest to, że każdego pisarza traktuje p. Tyszyński tylko jako jednostkę mniej lub więcej samoistną, nie zaś jako syna epoki, w której żył i działał. Stąd wizerunki tych poetów są jedynie portretami oderwanemi, nie powiązanemi ze sobą; nie stanowią galeryi czy albumu. Nie przeczymy, że i takie portretowanie ma wielką wartość; zdaje się nam jednak, że malarstwo historyczne wyżej od niego stoi i większy wpływ na widzów wywiera. *P. Ch.*

GOSPODARSTWO

i PRZEMYSŁ DOMOWY.

Wypasanie kur i kapłonów w ciągu 5 do 8 dni uskutecznia się szybko w sposób następujący: Przeznaczone na opas sztuki, umieszcza się dwie stopy po nad ziemią w kojcu z dnem wysuwanem tak, aby codziennie mogło być oczyszczane i posypywane suchym popiołem drzewnym. Za pokarm daje się zbierane mleko i na każdą sztukę przeznacza się stołową łyżkę ryżu, gotowanego z węglanem sody. Oprócz tego podaje się dwa razy dniem świeżą wodę za napój w czystem naczyniu. Korytka w których podaje się jedzenie, powinny być kamienne albo gliniane, gdyż takowe prędzej dają się utrzymać w czystości i nie zakwaszają się tak łatwo jak drewniane. Karmiony drób w ten sposób, wypasa się zupełnie w 5 do 8 dni, a przytem mięso jest delikatne, białe i nadzwyczaj smaczne. Żaden inny sposób postępowania nie ma zapewniać tak szybkiego wypasienia i takiej smakowitości mięsa. *G. R.*

Środek przeciw oparzeliźnie. W czasie bombardowania Paryża, zarząd miasta przewidując liczne mogące się wydarzyć oparzenia, podał do wiadomości mieszkańców rozmaite środki gojące, z których najlepszem się okazało mydło oliwno-wapienne (*Savon oléo-calcaire*). Mydło to jest wpółpłynne a nie maziste. Przyrządza się zaś kłócąc z sobą razem wapienne mleko ze zwyczajną byle nie zjełczałą oliwą. Po ustaniu się tej mięszaniny, nadmiar wapna na dół opada, a ustały płyn posiada własności leczące oparzeliznę. Posmarowana tem mydłem część ciała oparzeniem dotknięta, natychmiast przestaje boleć, bąble się nie robią, tylko spalona skóra potem odpada. Płyn daje się przechowywać długo w zatkanych szczelnie butelkach, a jest najskuteczniejszym ze wszystkich, podawanych dotąd środków na oparzeliznę.

ROZMAITOŚCI.

— Lwów od czasu zrobienia go środkowem ogniskiem krajowego ruchu, podnosić się i rozwijać zaczyna. Gdzie okiem rzucisz wznoszą się nowe budowle i co rok przybywa ich coraz więcej. Mimo to mieszkania nie tanieją i *prawie* tak są drogie jak w Warszawie. Pod względem umysłowym, Lwów też nie drzemie. Trupia martwota, jaka owładnęła Galicyją, ustępować zaczyna teraz ruchowi we wszystkich częściach kraju. We Lwowie i na prowincyi wychodzi pism kilkanaście, a miejscowe firmy

księgarskie zasypują publiczność polskiemi książkami. Największa zasługa w tym względzie należy księgarni Gubrynowicza, choć i nowa księgarnia polska (ulica Kopernika), przez wydawanie w przekładzie dziejów powszechnych Szlossera w 16 tomach, pracuje na dobrą opinią u ogółu. Księgarnia Gubrynowicza zasłużyła się przez to prowincyi swéj bardzo, iż od lat kilku wydaje Biblijotekę najcelniejszych romansów. Gdzieindziej na wydawnictwo takie nikt nie zwracałby uwagi, ale w Galicyi ma ono znaczenie wielkie, gdyż przy jego pomocy zdołano wyrugować z czytelni pań miejscowych stosy romansideł niemieckich i francuzkich.

— W Rymanowie galicyjskim, hrabina Potocka założyła w r. 1874 szkołę dla dzieci włościańskich, gdzie uczą się rzeźby na drzewie. Założycielka miała na widoku biednej górskiej ludności dostarczyć zarobek, nieodrywający od domu i rodziny i uwalniający od konieczności włóczenia się po świecie za kawałkiem chleba. Pod kierownictwem wykwalifikowanego rzeźbiarza, dzieci za pomocą najprostszych narzędzi wyrabiają począwszy od łyżek i krzyżyków aż do przedmiotów wkraczających w granice artyzmu, dzięki gustowi i wykończeniu. Na wystawie ostatniej w Stanisławowie znajdowało się wiele ramek rzeźbionych rozmaitego formatu, kropielniczek, kałamarzów, postumentów zdobnych w liście, kwiaty, owoce, a nawet figury, świadczących tak o smaku dostarczających modele, jak i o zdolnościach wykonawców. Dzieci zajmują się tem albo w domu albo na pastwisku i zarabiają od 12 do 37½ kopiejek dziennie. Powoli te wyroby są nabywane przez właścicieli większych sklepów galanteryjnych w Galicyi i z czasem mogą zastąpić wyroby niemieckie, droższe i bynajmniej nie lepsze. Każdy uczeń płaci miesięcznie 10 guldenów z utrzymaniem (koło 6½ rubla), a po skończeniu nauki trwającéj 3 do 6 miesięcy, 5 guldenów dla nauczyciela. Z wiosną ma być zaprowadzona w Rymanowie szkoła wyrobu koronek dla dziewcząt.

— Pismo krytyczne „Sztuki piękne" wychodzące w Berlinie, z entuzyjazmem mówi o obrazie Matejki „Kazanie Skargi" znajdującym się w sztychu na wystawie sztuk pięknych w Berlinie. Rzeczone pismo oddając zasłużone pochwały tej kopii nadmienia, że 6 tylko egzemplarzy poświęcone jest sprzedaży po poprzednim wystawieniu ich na widok publiczny w salach wystaw sztuk pięknych w Berlinie, Paryżu, Londynie i Warszawie.

— „Ruski mir" pisze że niektóre zebrania gminne powiatu petersburgskiego powzięły postanowienie ściągania kar pieniężnych od rodziców za nieposyłanie dzieci do szkół. Kary te mają być obracane w części na korzyść szkoły, a mianowicie na nabywanie książek dla biblijotek szkolnych, a w części na powiększenie utrzymania nauczycieli wiejskich.

— Jakiś włościanin ze wsi Prisztiny (w Starej Serbii) wyorał koronę szczerozłotą, wysadzaną mnóstwem kosztownych kamieni, z napisami z historyi serbskiéj. Jestto korona najpotężniejszego niegdyś z królów serbskich Duszana Silnego a która przez kilka wieków spoczywała zakopana w ziemi. Korona ta dostała się mieszkańcowi Białogrodu nazwiskiem Daniło Żywkowic, a ten za 9000 dukatów chce ją odstąpić na własność narodu.

— „Przegląd Katolicki" warszawski podaje następujące szczegóły o sprzedajności dzienników niemieckich: „Żeby pozyskać opinię publiczną na korzyść swojej pożyczki tureckiej, i złowić dudków w sidła, Anglobank rozesłał grube łapowe 73 dziennikom, byle tylko zalecali jego papiery. „Neue Freie Presse" otrzymała 25,000, „Presse" tyleż, „Tagespresse" 10,000 flor., „Wiener Tagbladt" 32,000 flor., „Vorstadt Zeitung" 16,000 flor. i t. d. Inne przedsiebierstwo (Raten und Rentenbank) wydało na właścicieli gazet wiedeńskich ogółem 33,285 florenów, a mianowicie „Presse" stara i nowa użyły po 3,500, „Fremdenblatt" 1,500 i t. d. Innem źródłem obfitego zysku dla gazeciarzy są ogłoszenia. Spekulanci uczciwi czy nieuczciwi, jeśli pragną zyskać pochwały w dziennikach, lub powstrzymać grad artykułów łzących ich przedsiebierstwa, muszą opłacić się redakcyi. Według pieniężnej wartości ogłoszeń, określa się barwa finansowych i ekonomicznych artykułów w dzienniku. Co więcej redaktorowie często sami żądają od rozmaitych towarzystw akcyjnych, banków i t. p. aby umieszczano w ich dziennikach ogłoszenia płatne, w razie zaś nie nadesłania takowych, prześladują w swych pismach instytucyje, które redakcyjom okupu złożyć niechciały."

— Stany Zjednoczone są obecne pod wrażeniem wiadomości o odkryciu bogatych pokładów złota na Alaszce. Poborca celny w Sitka przysłał sekretarzowi skarbu w Washingtonie opis Alaszki, skreślony przez praktycznie z tym przedmiotem obznajmionego poszukiwacza złota. Ten utrzymuje, że znalazł złoto w znacznej ilości, i że jego zdaniem Alaszka posiada niezmierne pokłady tego drogiego metalu, słowem, że Alaszka pod tym względem jest drugą Kalifornią.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Janowi Niewęg.... w Żytomierzu. Umieścić 14 letniego młodzieńca w jakim warsztacie rzemieślniczym nie będzie trudno w Warszawie. Za naukę i utrzymanie płaci się od 100 do 150 rs. rocznie, przytem wypada sobie zastrzedz posyłanie ucznia do szkoły rzemieślniczej niedzielnej. Osady Rolne są instytucyją poprawczą dla małoletnich przestępców i na naukę rolnictwa nie będą przyjmować.

Przy zapisywaniu się do rzemiosła potrzebną jest metryka urodzenia. Przez pośrednictwo sprawa tyle ważna załatwić się nie da, trzeba wiedzieć co chłopiec umie, do czego ma zdolności i ochotę, najlepiej więc osobiście odwieść i ulokować.

Pani Maryi B. piszącej w imieniu 5-u czytelniczek. Najuprzejmiej dziękujemy paniom za uczucie i krytyczne uwagi. Z trafnych tych uwag chętnie skorzystamy, jak o tem wkrótce Szanowne panie przekonacie się same. Tylko właśnie przy takim współudziale czytelników może się pismo pożytecznie rozwijać, po *omacku* bowiem droga i nie pewna i długa. Polecamy *Ogrodnictwo powszechne czyli nauka zakładania ogrodów* p. Czepińskiego z roku 1868 i 9. Cena rs. 4 i *Sadownictwo* Medicusa i Lucasa wyd. r. 1873 cena rs. 1 kop. 20.

Co się tycze podręczników radzimy: Historyją literatury powszechnej Scherra Jana z r. 1865, rs. 3. Historyją powszechną Wellera część I z r. 1865, część II z r. 1866 po kop. 50 (dzieje starożytne i średnie). Do wieków nowożytnych polecamy Duruya z roku 1869, rs. 1 kop. 20. Świat roślinny przez autorkę Wieczorów Czwartkowych, rs. 1 kop. 50. Chemiją Roscoe wydanie Redakcyi „Przyroda i Przemysł," cena kop. 35 z r. 1873. Müllera Fizykę w streszczeniu opowiedzianą, przekład Stanisława Kramsztyka z atlasem, wydanie z r. 1872, cena rs. 1. Praktyczny wykład nauki gospodarstwa społecznego dla młodzieży Blocka, z r. 1873, kop. 40. Katechizm większy ks. Gorzelańskiego z r. 1874, kop. 45. Geografiję i Zoologiję wydaliśmy nakładem swoim, kosztują łącznie kop. 90.

Panu Fabijanowi Długob... w Elizawetgradzie. Wypisy Polskie, oraz Nr. 3 Opiekuna z r. b. posyłamy.

Panu X. X. Z. Artykuł: Historyczne znaczenie „liberum veto" pomieścimy w pierwszych zaraz numerach roku przyszłego. Prosimy przytem pana o zgłoszenie się do Redakcyi w dniu 26 b. m. dla ostatecznego rozpatrzenia tej pracy na posiedzeniu redakcyi.

Autorowie i nakładcy którzy życzyć sobie będą iżby o ich pracach lub wydaniach wzmiankowano w „Opiekunie Domowym," raczą nadsyłać do Redakcyi egzemplarz dzieła wydanego. Oceny każdej nadesłanej nowości, w jak najkrótszym czasie pomieszczane będą w piśmie naszem.

Дозволено Цензурою. Варшава 6 (18) Ноября 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769*a* (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.